Nr. 21 (1635) Warszawa, 25 maja 1912 r. Rok XXXII.

PRAWDA

Tygodnik polityczny społeczny i literacki.

Redakcja i Administracja: WŁODZIMIERSKA 5. Telefon 73-80

BOLESŁAW PRUS.

1846 — 1912.

Gdy mnie ujrzycie takim lotem,
że postać mam już jasną,
to zawołajcie mnie z powrotem,
tą mową moją własną.

Umarł!..

Tę wieść po kraju niosą dzwony pogrzebowe. Na łąki i na lasy ją niosą, w świat, w szeroki pod słońcem przestwór, niezliczonymi drogami, po których ongi błądził duch jego młodzieńczy, zbierając ojców łzy i krew... Dziś imię jego z jęku dzwonów bierze na wieki chrzest spiżowego brzmienia. Dotąd żyło w rozgwarze ulicy, odtąd w ciszy dębów zielonych zamieszka i falą kłosów się rozpleni. Umarł — — ? Dlaczegóż jego trumnę opłakujecie? Wszak śmierć stała się dlań jeno dopełnieniem wizerunku życia. Dlaczego łzami oblano jego trumnę? Snadź z poza łez nie dostrzeżono, że z trumny tej rozchodzą się promienie życia, że ta trumna jest ogniskiem tysiącznych promieni, które wybiegają z serca i czepiają się serc poprzez milczenie grobu. W tej trumnie zamknięte śpi jego serce. Serce które w bólu pękło. Ah! pęknąć mogło, ale przestać kochać— to nad jego siły... Serce Prusa, które miłością świat cały potrafiłoby ogrzać, czyż nawet śmierć sama zdoła wyziębić? Kto wiele kochał i kto żył twórczo, ten w śmierci nawet znajduje orędowniczkę życia. Przez śmierć wstępuje w byt wyższy i doskonalszy; przez śmierć osiąga wieczną młodość. Duch Prusa był zawsze duchem niepokoju i walki. Nikt, jak on, nie tworzył postaci kipiących warem sił, zdobywczych, pełnych ekstazy czynu; nikt głębiej od niego nie czuł poezji ruchu, piękna rozwoju, huczącego pędu kultury; nikt równie głęboko nie tkwił w nurcie środowiska, nie przełamywał w swej piersi tylu krzyżujących się prądów społecznych: żadna w narodzie warstwa nie była mu obca, ani obojętna, a przecież wszystkim przeciwstawiał się stanowczo i wyraźnie, bo nad wszystkimi swą osobowością górował. Takim był w dojrzałości genjuszu, i takim też dla nas pozostanie. Na progu śmierci jawi się znów obleczony chwałą młodości. Źrenice jego, przebiwszy mrok mogiły, rozpalą się dawną ku młodym jutrzniom tęsknotą; sprężysta dłoń, sterana na schyłku pracą, nanowo dźwignie oręż; pierś pełna wichru uniesień stanie w mężnym szeregu, aby raz jeszcze podjąć święty bój o Człowieka. Śmierć w istnieniu Prusa zamyka pewien okres ograniczony, natomiast otwiera inny, nie mający kresu, nieśmiertelny. Gdy na trumnę jego rzucono pierwszą grudkę ziemi, wieko trumny odebrzmiało echem stuleci. Ten pierwszy okres był obarczony smutkiem i niedolą ziemi: począł się bezradnością dzieciństwa, zagasł w sił nadwątleniu jesieni. Natomiast okres wtóry będzie rozkwitem wiecznie jaśniejącej młodości, wieczną wiosną ducha. Z niej pokolenia czerpać będą moc, otuchę, zapał i wiarę!

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Krwi!

Tłumy, które stale w dni świąteczne wylegają na ulice Warszawy i przechadzają się wolno w ścisku i kurzu, stanowią dla nas widok zwykły, żadnych nie nasuwający uwag natury ogólnej. Przywykliśmy do niego tak dalece, że bylibyśmy mocno zdziwieni, gdyby kto w zjawisku tym dojrzał oznaki wyrodnienia i powód do smutnych rozmyślań na temat Warszawy i jej mieszkańców.

A jednak nie jeden, lecz sto powodów do takich rozmyślań istnieje w tej leniwej fali tłumów świątecznych. Mam zamiar odsłonić niektóre z nich. Może, gdy nabiorą siły widzeń plastycznych, wyłoni się z nich czyn, lub bodaj chęć do czynu. A czynów wciąż najbardziej nam potrzeba i — sądzę — niema większej dla słowa pochwały, niż gdy rozpęknie się jak łupina i jądro czynu wyłoni, samo podając się na zagubę.

Świąteczne tłumy warszawskie spokojne są, umiarkowanie chodzą i mówią. Kto jednak wpatrzy się dobrze i wmyśli w życie Warszawy, ten usłyszy wzdłuż ulic biegnący krzyk rozpaczliwy, a raz go usłyszawszy—nie zapomni. I sam będzie wołał o czyn dla tych, którzy nawet nie wiedzą że krzyczą. Nie usta ich krzyczą, nawet nie dusze, nie mózgi: bladość ich twarzy, słaby, bezmyślny rytm życia, zwiotczałość i nędza ich postaci, sam tryb niedzieli warszawskiej jest krzykiem dojmującym i krzyk ten muszą nareszcie usłyszeć ci, dla których „naród“ nie jest czczym ogólnikiem, a „przyszłość narodu“ — frazesem.

Warszawa wyrodnieje. Wielkie to miasto rośnie szybko i rośnie samo, anarchicznie, bez żadnego ładu, bez żadnego planu, bez rządu, nawet bez wysiłku organizacji prywatnych w kierunku hygieny życia zbiorowego, które w dużych skupiskach jest rzeczą wagi pierwszorzędnej. Niema na świecie miasta o tak nędznym wyglądzie mieszkańców i taką odznaczającego się pustką życia świątecznego. Poza pracą obywatel tego miasta nie istnieje i nie wie co począć ze sobą. Warto się przyjrzeć niedzieli warszawskiej i wziąć ją jako punkt wyjścia do dalszych i szerszych wywodów.

Rzemieślnik, stolarz, ślusarz, szewc, krawiec warszawski, robotnik fabryczny, kupiec, urzędnik i t. p. — oto główna ludność miasta, codzień nużącą pracą przykuta do jednego miejsca. Święto powinno być dla nich dniem pełnym powietrza, słońca, swobody i zabaw, dniem dla każdego łatwo dostępnym. Cóż mają w Warszawie? Ulicę ciasną, duszną i nudną, kawiarnie również ciasne, duszne i nudne i trochę rozrywek „umysłowych“, więc teatr, wystawa obrazów, koncert i. t. p. instytucje drogie zresztą i stanowczo ani powietrza, ani swobody nie dające. Okolic podmiejskich prawie niema, a dojazd do nich kosztowny, trudny i zresztą — bezcelowy, bowiem i tam poza „przechadzką“ niema rozrywek, które jedynym są dla organizmu ludzkiego przewodnikiem słońca, powietrza i radości. Więc obywatele miasta tłoczą się po ulicach i kawiarniach i zbijają bruki. Niedziela w Warszawie jest ciężkim oskarżeniem tego miasta. Oceńmy kilka punktów tego oskarżenia.

Warszawa według map geograficznych leży nad Wisłą, lecz tylko według map. W rzeczywistości niema rzeki w Warszawie. Dostęp do Wisły jest niemożliwy. Najbardziej opuszczona dzielnica miasta, najbrudniejsza, pełna parkanów, kałuż błotnych, osypisk, gór piasku, fabryk — to Powiśle. Spróbujcie przejść wzdłuż Wisły w obrębie Warszawy: jest-to wyprawa niebezpieczna i przykra, którą chyba tylko w celach naukowych przedsięwziąć można. A przecież tak miła rzeka powinna być ogniskiem życia wielkomiejskiego, najpiękniejszą miasta ozdobą, rajem jego mieszkańców!

Co można uczynić, co powinna była uczynić Warszawa z Powiśla, poczynając od Alei Ujazdowskiej, Nowego Światu i Krak. Przedmieścia, do Starego Miasta wdół po pochyłości aż po brzegi, a wzdłuż od Łazienek po Cytadelę, to tylko w marzeniach *najpraktyczniejszych* ludzi zobaczyć można. Ci nasi *romantycy* wielkomiejscy, którzy całe życie uganiają się za chimerą — pieniądzem, a sami

ECHA PRAWDY.

Na tym padole... śmiechu.

— Humor polski? W dzisiejszych czasach — —? To się nie da zrobić...

Tak twierdzą polscy humoryści, i mają zupełną słuszność, dopóki pozostają w swoim własnym towarzystwie. Gdyby jednak odwrócili się nawzajem od siebie i poszli, każdy swoją drogą, w życie, wtenczas, być może, utraciliby słuszność, ale zato odnaleźliby — humor.

Bo humor w Polsce istnieje, ale istnieje tam, gdzieby go najmniej można się spodziewać. I jest to humor w gatunku bardzo wysokim. Z pereł śmiechu, którymi ten humor dzwoni, można by uczynić naszyjnik godny królowej.

Biedne ludy Zachodu! jakże są upośledzone! One śmiać się muszą z błaznów, klownów, aktorów płatnych i marjonetek! Co najwyżej mogą śmiać się jeszcze z łotrzyków, oszustów i nicponiów, których ręka sprawiedliwości rychłą dosięga karą. Tam, naogół, śmiech karmi się odpadkami społeczeństwa, żyje najtańszym, lichym materjałem ludzkim.

Jakże, w porównaniu z nimi, jesteśmy bogaci! My śmiać się możemy nie z chudopachołków, ale z ludzi na świeczniku stojących: z biskupów, prałatów, mężów stanu, ojców i przewodników narodu. My Polacy jesteśmy we wszystkim arystokratami i nawet śmiech nasz ma upodobania arystokratyczne.

U nas najszanowniejsze jednostki pracują na polu humorystyki. Bah! najczcigodniejsze instytucje, najgłośniejsze redakcje, najuroczystsi kapłani orzą i sieją na tym polu. Jeżeli tylko tego pola gromy starczyste nie spalą, zaprawdę, czeka ich plon bogaty.

I gdyby jeno mieć kosę do cięcia tego plonu, gdyby kosę mieć, jak błyskawica!..

Pani Lewentalowa ma głos.

Kiedy trzej biskupi w Polsce rzucili klątwy na ruch ludowy w osoble najdzielniejszych jego zastępów, zaległa w kraju cisza wiejkiej trwogi

żyją jak wieprze, pojęcia nie mają, że z Warszawy, zwłaszcza zaś z Powiśla można rzeczywisty cud ziemski uczynić. Pomyślcie tylko: zburzyć całe Powiśle, poczynając od pierwszej pochyłości, pozostawiając tylko gmachy niektóre publiczne, pałace i kościoły, uczynić z tego obszaru pochyłego ogrody pełne placów dla zabaw i gier dla dzieci i dorosłych, poprzecinane w ukos i wzdłuż alejami dla pieszych i konnych, poustawiać gdzieniegdzie teatry, sale koncertowe, kioski z kawiarniami, strzelnice i t. p. zakłady, Wisłę ująć w brzegi odpowiednio wysokie i mocne, pełne przystani dla statków i łodzi (z obu stron rzeki), rzekę ożywić tysiącami łodzi i pływaków, Warszawę samą poprzerywać szerokimi ulicami od zachodu na wschód — ku Wiśle, otworzyć tym sposobem arterje powietrzne i perspektywy na lasy i widnokręg takie, jaką dziś można podziwiać z rogu ulic Nowego Światu i alei Jerozolimskiej, przybliżyć i uprzystępnić rzekę dla całej ludności miejskiej — oto czego domaga się naturalne położenie naszego miasta. Jak Warszawa z tego położenia skorzystała? Odwróciła się tyłem od swojej rzeki, zaśmieciła jej brzegi, szczelnie się od nich oddzieliła i dusi się w ścisku i mroku, jak stara przekupka — śledziarka

Wyobraźcie sobie teraz takie Powiśle zadrzewione, dzwoniące rozbawionym gwarem dzieciarni, pełne powietrza, słońca, przestrzeni, ruchu, zabaw i radości, pachnące Wisłą, zdrowe! Czy uczynić to — nie jest to dać Warszawie płuca wielkie i mocne, z których wszyscy — od bogacza do nędzarza w pełni korzystać będą? A dzieci? Te najbardziej, najniemiłosierniej przez nas krzywdzone i bezbronne istoty? W Warszawie mamy dziś dla nich — w zakresie wychowania fizycznego —tylko Kolonie letnie i ogródki Rauа. Kolonje z trudem porają się ze swą szlachetną działalnością i tylko drobną cząstkę potrzeb zadowolić mogą. Ogródki Raua są klatkami i parodją tego, co dzieci mieć powinny. Spójrzcie! Te płuca Warszawy - Powiśle takie byłyby łatwo dostępnym celem *codziennych* wypraw dla *wszystkich* dzieci warszawskich latem, wiosną, jesienią i zimą. W każdy czas. I nietylko dla dzieci. A ileżby ponadto Warszawa zyskała na wyglądzie estetycznym, ile wrażeń pięknych spłynęłoby z takiego Powiśla na to miasto — dziś tak nędzne i ciasne. I jak wówczas zmieniłaby się do gruntu niedziela warszawska!

Warszawa zupełnie zaniedbała fizyczną stronę swego mieszkańca: niema on ani rzeki, ani placów, ani ogrodów, ani zabaw, ani gier, ani strzelnic, ani przechadzek możliwych, niczego słowem, co wszędzie na świecie umila życie i daje zdrowie, czerstwość, siły, radość, odporność... •

Weźmy pierwszy z brzegu przykład: wszelkie zabawy w piłkę, kręgle i t. p są na świecie rozpowszechnione i z zamiłowaniem przez wszystkich uprawiane. W Rzymie przy zabawie w kręgle spotkać można jako partnerów w jednej grze: b. kapitana karabinierów, urzędnika banku, szewca, robotnika fabrycznego, fryzjera, literata i kupca — ludzi starszych wszelkich stanów i zawodów, których łączy gra ulubiona i zdrowa Czy u nas widział kto coś podobnego? Warszawa jest pełna głupich dąsów: p. urzędnik banku czułby się urażonym z towarzystwa szewca lub robotnika. On jest arystokrata, chodzi zapięty w tużurek, szwęda się po ulicach i kawiarniach ze swoją miną nadętą i uważałby za rzecz niegodną jego stanowiska grę w piłkę, lub w kręgle! Zwłaszcza w „nieswoim“ towarzystwie.

A przedewszystkim — niema w Warszawie zwyczaju „bawić się“ w gry takie, niema tych gier, ani miejsca na nie. Piłka — to według mniemań warszawskich - gra dziecinna. Dla starszych jest: bilard, szachy, karty, kabaret, kawiarnia, gdzie z przyjemnością godzinami wędzą się, duszą i plotkują.

A przecie place dla wielkich gier, jak piłka nożna, palant, tennis, kręgle, strzelnice — to niewyczerpone źródła sił, zdrowia, wesela, dobrego humoru i sprawności fizycznej, a więc i duchowej. Warszawa jest tego wszystkiego pozbawiona zupełnie.

Rzeczą niezmiernej wagi dla miasta naszego jest propaganda tych gier, zabaw i sportów wśród najszerszych mas ludności i potworzenie tymczasem bodaj prywatnych placów, z których przedsiębiorcy czerpać by mogli zyski i tym sposobem gwoli własnemu pożytkowi pożytek ogólny dawać Warszawie.

---

i pokory. Poza prasą postępową nikt nie ozwał się z protestem. Milczały katolickie i narodowcze czasopisma, nabrawszy wody święconej w pobożne usta.

Nagle, śród tej ciszy niemej, przemówił *Kurjer Warszawski*, — obryzgując święconą wodą czytelników:

— Narodzie, baczność! Chrześcjanie-katolicy! uwaga! Pani Lewental Hortensja ma głos. Prosimy o skupienie! Chlebodawczym nasza i orędowniczka za chwilę będzie mówiła w bardzo ważnym interesie. Cyt! kto tam gra na katarynce?!

Jakoż niebawem na proscenium uwagi powszechnej wystąpiła pani Hortensja Lewental, dostojna macierz katolicyzmu, trzykrotnie bijąc się w piersi, poczym oczy wzniosła ku niebu i, upewniwszy się, że niebo jej słucha, tak mówić zaczęła:

— Dzięki tobie, Panie, iżeś mnie wybrał za naczynie swoje, pełne łaski, a odsunąłeś odemnie grzech wszelki i nieprawość. Jako ślubowałam, wespół z redakcją swą, pielgrzymkę ekspiacyjną odbyć do stóp Jasnej Góry, aby łzami pokutnymi obmyć pokalane ołtarze, takoż pragnę i przyrzekam czystość klasztorną w progach redakcji utrzymać. *Zaranie* zostało wyklęte: *Zaranie* musi spłonąć!

Natychmiast ułożono stos; na nim rozpostarto *Zaranie*.

— Ognia!

Zaczęto szukać ognia; aliści okazało się, że nikt z członków redakcji *Kurjera* ognia nie miał. Jeden tylko woźny cokolwiek ognia posiadał, lecz nikt o to go nie podejrzewał.

Ktoś już chciał biec po ogień w pobliże do księdza Kłopotowskiego, gdy niespodzianie wstrzymała go ruchem westalki, której zdarzyło się nieszczęście, pani Lewental Hortensja:

— Nie trzeba! Skoro Bóg tak zrządził, umiejmy się ukorzyć przed jego świętą wolą! Nie staje nam ognia: wznieśmy się do pokory naszego Juljusza, który wyrzekł: „O! Allach akbar! jesteś wielki“. Nie staje nam ognia, to prawda; za to wody nam w redakcji nie zbraknie. Nie udało się nam *Zarania* spalić, to go utopimy. A na przyszłość nie wpuszczać tego szatana! W naszej redakcji wisi na ścianie obrazek Częstochowskiej, i dla wyklętych miejsca niema!

Oto np. Wisła sama: rzeka stworzona do wycieczek i przejażdżek łodziami. Zobaczmy, co na niej dzieje się latem. Tu i owdzie łódź, zrzadka łódź żaglowa: możnaby przysiądz, że to maleńkie miasteczko z tych obszarów wodnych korzysta, a nie miasto miljonowe. Ale za to zajrzyjmy do Łazienek: na stawie maleńkim gwar nie do opisania, damy krzyczą przerażone, kawalerowie pełni animuszu i spoceni wiosłują, wpadają na brzeg, biją się wiosłami, uderzają łodzią o inne łodzie, katastrofy, zderzenia, przekleństwa i wrzaski... I to wszystko na tym półmisku dobrym dla dziatwy pięcioletniej, a nie dla tęgich ramion męskich. Czyż to nie wstyd!? Ten półmisek łazienkowski — to typowy obraz fizycznego i duchowego niedołęstwa Warszawy.

Taka jest warszawska niedziela. Pusta, głupia, niedołężna. Tak obywatele tego miasta spędzają trzecią część swego życia poza dwiema trzeciemi na sen i pracę przeznaczonymi: duszna i nudna ulica, duszna i nudna kawiarnia i bohaterski półmisek wody w Łazienkach. Jeszcze dwa pokolenia takiego życia, a Warszawa będzie pośmiewiskiem kraju. Już dziś warszawianin jest synonimem franta i cherlaka.

Od zabaw, gier i sportów, których w Warszawie niema, przejdźmy do warunków zabudowania, mieszkania i pracy. Pod tym względem Warszawa jest piekłem nędzy i brzydoty. Niema placów, niema ogrodów. Saski ogród jest śledziarnią, w której odetchnąć nie można, tak samo ogródek Krasińskich i park Ujazdowski. Trzy maleńkie, zatłoczone ogrody na miasto miljonowe! Łazienki są na krańcu miasta położone i dziecko nie może tam wejść z kołem, konikiem, piłką, lub welocypedem: oto typowe dla tutejszych władz okrucieństwo względem dzieci! Ogród Botaniczny zamknięty większą część roku i zresztą bardzo mały.

Ulice nasze ciasne są i coraz ciaśniejsze. Ulica, która szeroka była przy domach dwupiętrowych, staje się wąwozem ciasnym wobec pięciopiętrowych kamienic. Nikt nie dba o to, żeby w miarę urastania domów i mnożenia się ludności rozszerzano ulice, co jest konieczne. A nasze podwórza! Te studnie wilgotne i mroczne, w których większość mieszkańców spędza większą część swego życia!... Podwórza powinny być coraz szersze w miarę wysokości kamienic, lecz niema na to przepisów i nikt o to nie dba. Warunki mieszkań, warsztatów, biur i fabryk znane są ogółowi naszemu. Wiadomo, że Warszawa jest terenem jawnego rozboju ze strony kamieniczników dbałych tylko o dochody. Tu otwarte jest pole dla działalności Koła Architektów, które powinno zrozumieć wielką odpowiedzialność swoją i wielkie zadania, jakie ma przed sobą.

Dodajmy do tego bruki przedpotopowe i taką gospodarkę magistratu, przy której np. na ulicy Pięknej od trzech lat leżą płyty kamienne, przygotowane do budowy chodników — leżą i niemi już porastają, dodajmy do tego brak zadrzewienia, brak elementarnych urządzeń miejskich, jak np. kąpieli ludowych, gmachów szkolnych, szkół elementarnych i średnich miejskich, czytelni i bibljotek publicznych, muzeów, sal na zebrania, brak stowarzyszeń na wszelkich polach, klubów, organizacyj, brak komunikacyj tramwajowych podmiejskich, brak dworców kolejowych (bowiem takie budy jak dworzec kowelski, wiedeński, petersburski i inne trudno nazwać dworcami), brak gmachu pocztowego (co jest skandalem), dodajmy do tego „architekturę" miasta, za którą rumienić się trzeba ze wstydu, dodajmy jeszcze sto innych braków, na których wyliczenie brak mi tu miejsca, a otrzymamy obraz Warszawy prawdziwy i, naprawdę, okropny. A przecież jest-to miasto duże i bogate. Pierwsze lepsze małe miasteczko niemieckie posiada wszystkie te urządzenia, które mu zdrowie dają i piękny wygląd, a wielka Warszawa jest jak żebraczka w łachmanach, wrzaskliwa i wstrętnie uróżowana.

Przedstawmy sobie to wszystko, na co stać Warszawę, a czego niema, przedstawmy sobie to żywo i nagle w wyobraźni, a wówczas zrozumiemy, jaki to krzyk przebiega tłumy nasze świąteczne wzdłuż ulic miasta. Usłyszymy jawnie ten krzyk... „Krwi!" wołają te twarze blade, zwłaszcza twarzyczki dziecinne. „Krwi!" wołają te postacie nędzne, lub nalane i otyłe. „Krwi!" woła słaby, bezmyślny rytm naszego życia wielkomiejskiego. „Krwi!" wołają piersi zapadłe, ramiona wiotkie, ciała niewytrwałe, „Krwi!" wołają dusze w tych murach więzione, tchórzliwe i zbiedzone.

Od jutra administracja przerwie wymianę naszego pisma z *Zaraniem*". Amen.[1])

Zaledwie przebrzmiały te słowa w duszach obecnych, szyby w oknach redakcji pękły z hałasem, a o d o r s a n c t i t a t i s powiał chmurą po całej Polsce.

Dekameron a biskupi.

Wiemy, że kapłani i mnisi katoliccy grają pierwsze role w swawolnych opowiadaniach Boccaccia. Gdyby nie przygody kleru, straciłby Dekameron swe najbarwniejsze kwiaty grzechu. Dziś jednak przekonywamy się, że nie tylko może ksiądz rolę grać w Dekameronie, ale i Dekameron odegrywa poważną rolę w życiu księży a nawet biskupów. Przynajmniej — biskupów polskich. Gdzieindziej bowiem, być może, biskupi czerpią natchnienie z pisma świętego. U nas, wzorują oni swe listy pasterskie na Dekameronie.

Posłuchajmy, co mówi Boccaccio:

— Pewien żyd paryski, imieniem Abram, ulegając namowom przyjaciół swych, katolików, postanowił się ochrzcić. Odkładając jednak z dnia na dzień akt nawrócenia, zwlekał ze chrztem czas długi, w końcu zaś oznajmił przyjaciołom swym, iż, aby godnie przyjąć światło wiary nowej, zamierza jechać do Rzymu, który jest sercem chrześcijaństwa. Przyjaciele, posłyszawszy ów zamiar, strapili się niezmiernie i gorącymi słowy jęli odradzać Abramowi podróż, wystawiając jej niebezpieczeństwo i uciążliwość. W duszy zaś myśleli sobie: „Jeśli uda się do Rzymu, pójdzie na dwór papieski a obaczy jego wszeteczeństwo, poniecha napewno zbawczej myśli nawrócenia".

Wbrew ostrzeżeniom pojechał jednak Abram do Rzymu. Wrócił po roku dopiero, i wrócił jako syn kościoła katolickiego.

— Jakże się to stało? — pytali zdumieni przyjaciele.

— Czego dokonać nie mogły wasze światłe namowy i żarliwe serca, tego dopięły grzechy

[1]) Rozkaz pani Lewentalowej został spełniony. Od dnia ogłoszenia klątwy na „Zaraniarzy" cofnięto wymianę „Kurjera Warszawskiego" z tygodnikiem „Zaranie".

Krwi! A więc i ducha! Bowiem jak dobrze powiedziano: „Krew jest duchem!“ I jeśli ciało zaniedbamy, ducha stracimy.

Sądzę, że wielki czas, iżby Warszawa pomyślała o sobie i zaczęła się konstytuować od podstaw. Umiemy dużo mówić i nawet górnie i idealnie. Dzienniki pełne są wszelkiego rodzaju wiadomości z całego świata. Mówimy o wszystkiem, interesujemy się wszystkiem, a żyjemy w tak strasznym nieładzie i nędzy! Gorzej — w zbrodni żyjemy. Uważam Warszawę za zbrodniarkę, która systematycznie z dnia na dzień zabija dzieci swoje, skąpiąc im słońca, powietrza, przestrzeni, ruchu, zabaw, gier, wesela, uważam Warszawę za wampira, który nam krew wysysa od dziecka. A przecież miasto to, syrenę w herbie mające, dziewkę o piersiach tęgich, mogłoby karmić swe dzieci bujnie, hartować je i do życia mocnego zaprawiać, mogłoby i powinno matką być swoim dzieciom — dobrą, zdrową i mądrą matką, a nie — macochą...

St. Pieńkowski.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

[illegible] dziś niezmiernie ciekawy widok i ściągają na siebie uwagę polityków. Coraz wyraźniej rysuje się tam nieprzejednane przeciwieństwo dwóch żywiołów, których blizkie już może starcie wywołać wielkie przesilenie w wewnętrznym ustroju [illegible]

Czerwony parlament bynajmniej nie zastraszył twierdzy junkierstwa. Przeciwnie, zdaje się jakoby chodziło jej o manifestowanie na każdym kroku, że ona niewzruszenie trwa i ani na jotę nie myśli od dotychczasowego systemu odstąpić. Wbrew przewidywaniom, że groźba wewnętrznego przewrotu, niepewna większość w parlamencie, a ztąd znaczenie 18 głosów Koła polskiego, powstrzymają rząd pruski od dalszej nagonki na Polaków, wniesiony do sejmu nowy wniosek antypolski przeprowadzono przez izbę pruską w przyspieszonem tempie. Podczas pierwszego czytania zdarzył się niebywały w niemieckich ciałach prawodawczych skandal: wkroczenie policji i wyprowadzenie przemocą dwóch posłów socjalistycznych z sali obrad. Prezes wprawdzie polecił wyprowadzić tylko jednego z nich, ale zapał służbowy policjantów zagarnął i drugiego przy okazji. Kodeks niemiecki karze podobny gwałt 5-cio letniem więzieniem, nie czekając tedy aż poszkodowani zapozwą przed sąd prezesa i wykonawców jego woli, władza ubiega ich i wytacza im ze swej strony proces o zaburzenie spokoju, co jest zupełnie dowolnem oskarżeniem, gdyż niema parlamentu na świecie, gdzieby było zabronionem posłowi wstać z miejsca, podejść do trybuny i głośno w czasie przemówienia wtrącać uwagi; tego zaś tylko dopuścił się poseł Borchardt. Na ten niesłychany dotąd zamach na nietykalność poselską potrzebne było zezwolenie izby. Przygniatająca większość głosów w sejmie zgodziła się wydać obu pokrzywdzonych a oskarżonych posłów sądowi. Posłowie polscy, nie bacząc na to, że Borchardt w ich obronie naraził się na to bezprzykładne prześladowanie, wstrzymali się od głosowania. Zna- [illegible] izby, uznali widocznie, iż ślepe posłuszeństwo jest pierwszym obowiązkiem posła. Przy drugiem czytaniu był inny skandal, mniej głośny ale bardziej bolesny i upokarzający. w tych ważnych obradach brało udział tylko pięciu posłów Polaków!!!

W trzeciem czytaniu zapadła ostateczna uchwała 220 głosami przeciw 115. Przybyło zatem nowych sto mi- [illegible] trzy nowe prowincje. W tym samym czasie, odpowiadając na interpelację socjalistów, przedstawiciel rządu przy oklaskach konserwatywnej większości oświadczył kategorycznie, iż żaden projekt reformy wyborczej nie będzie do izby wniesiony, gdyż to jest nie na czasie. „Bronią się jeszcze twierdze Grenady...“ „Zaraza“ szerzy się jednak w około i niechybnie wtargnęć tam musi. W parlamencie doszło również do scen burzliwych, lecz z odmiennym wynikiem. Wywołało je przemówienie cesarza Wilhelma, który, wypocząwszy na Korfu, zaczął znowu po dawnemu wprawiać kraj i Europę w osłupienie. W Strasburgu publicznie zagroził Alzatczykom, że jeśli się nie poprawią, to jest nie zrzekną się sympatji francuskich, rozbije im konstytucję w skorupy, a kraj przyłączy do Prus. Frazes był tak zręcznie ułożony, że obraził równocześnie Francję, Niemcy, Alzację i Prusy. Nawet najkonserwatywniejsze dzienniki nie mogły inaczej bronić cesarza, jak pró- [illegible] słone przez wrogów, pragnących dyskredytować monarchę. Niestety—Wilhelm II-gi nie wyparł się tych słów wypowiedzianych zresztą głośno, dobitnie, przy licznych i do-

i upadki kleru, z którym się zetknąłem w Rzymie. Te grzechy są tak wielkie, że przezwyciężyć muszą zarzuty najtwardszego sceptyka: jeśli bowiem kościół rzymski już wieki całe trwa i rozwija się mimo takiej potwornej zgnilizny sług swoich, jaką ja tam widziałem na oczy własne, to początek jego musi być nadludzki, a założyciel jego musiał mieć potęgę boską, i inaczej dawnoby ten kościół już runął.

Tak przed wiekami szydził Boccaccio.

A teraz posłuchajmy, co mówi Zdzitowiecki w liście pasterskim do owczarni Kujawsko-Kaliskiej,

— Jak potężna nawałnica, brzemienna piorunami wstrząsa posadami ziemi,—tak wstrząsnęła straszna zbrodnia jasnogórska całym naszym krajem, który we wszystkich swych zakątkach wzdrygnął się i przeraził, — i zdało się nie jednemu, że wszystko się wali i niema nawet miejsca dla nadziei! Przeszła jednak burza i otucha do serc wstąpiła!.. Kościół musi być boskim, kiedy nawet grzechy i upadki jego sług nie zdołały go obalić!

Ano! przyznać musimy, że biskup-jegomość ujawnił wcale źródłową znajomość Dekameronu. Czy tylko nie pomylił się, nieborak, w swym uniesieniu wieszczym, stawiąc Boccaccia między Ojców Kościoła?

Psunabudes spekuluje.

Inne, szczęśliwsze wieki miały swych cystersów, którzy trzebili lasy dziewicze i zakładali sioła pańszczyźniane na uprawionych karczunkach. Inne, szczęśliwsze narody miały wreszcie benedyktynów i kartuzów, którzy posiedli sekrety sławnej benedyktynki i chartres'y ku powiększaniu swego dochodu preparowanej.

Niestety! Obecnie w gruzach leżą cystersów opactwa a niewdzięczny Francuz wygnał fabrykantów likieru wraz z ich szacownymi receptami. Inne czasy, inne gusła następują, świat pić chce więcej z czary duchowej niż alkoholicznej. Techniczna wiedza przedziera się w tysiącach wydawnictw pod najskromniejsze strzechy.

Kler nie omieszkuje tej przemiany wyzyskiwać.

Włocławski Kalchas, rzucający gromy w po-

stojnych świadkach. O czem nie wolno szeptać w sejmie— to wolno grzmieć w parlamencie. Posypały się tedy miażdżące gromy wymowy poselskiej przeciw temu skandalicznemu wystąpieniu, w którym wolno było upatrywać groźbę zamachu stanu. Alzacja i Lotaryngja nigdy do Prus nie należały, cesarz samowolnie niemi rozporządzać niema prawa, a traktowanie wcielenia do Prus jako kary—ubliża Prusom. „Hańbą jest być Prusakiem" mówił Scheideman, i nietylko nie wyrzucono go z sali, lecz kanclerz i ministrowie demonstracyjnie wyszli. Nie dość na tem; po chwilowym namyśle powrócili, słuchali dalej—kanclerz musiał wreszcie odpowiadać i tłomaczyć nieobecnego monarchę jako odpowiedzialny za jego wybryki kozieł ofiarny.

Gdyby cesarz Wilhelm był bardziej przebiegły, niż nieobliczalny, możnaby go podejrzywać o chęć sprowokowania parlamentu, rozwiązania go i uzyskania na trzy miesiące wolnej ręki do realizowania swych osobistych kaprysów politycznych. Nie jest wykluczone, że taka myśl w głowie monarchy powstała. Byłby to jednak eksperyment bardzo karkołomny i na krótką obliczony metę, gdyż nowe wybory mogłyby jeszcze zaostrzyć sytuacyę i tak dość niebezpieczną. Wiemy też, że wola cesarza Niemiec nie jest jako piorun „co najprzód uderza nim błyska". Najczęściej błyska na postrach a nie uderza wcale. I tym razem przeto nie posypią się pewno skorupy z konstytucji alzackiej, a parlament zdąży jeszcze wygłosić kilka komplimentów pod adresem głowy Hohenzollernów.

Jerzy Sorel wobec materjalizmu dziejowego.

(Dokończenie).

Wyrażenia *materjalizm dziejowy* nadużywa się nader często: bierze je się w znaczeniu zbyt pospolitym i płaskim. Materjalizm dziejowy bywa wówczas równoznacznikiem egoizmu, mianowicie egoizmu wytwórców, którzy, wedle formy narzuconej przez technikę ekonomiczną momentu, walczą o zdobycie wolności i władzy. Streszcza się cały w zasadzie, iż ludzkością rządzi wyłącznie interes i samolubstwo; ponieważ zaś interes opiera się na rachubie ekonomicznej, przeto historja, z tego stanowiska, przedstawia się jako arena pogoni za zyskiem, za zbogaceniem się, i opanowaniem rządu, będącego środkiem owego zbogacenia.

Nie można stanowczo orzec o tym pierwszym znaczeniu, aby było zupełnie błędne, gdyż pozostaje ono w pewnym pokrewieństwie ze znaczeniem prawdziwym.

Bądź co bądź, stanowi ono odczynnik skuteczny przeciwko łzawemu idealizmowi, który nie chce liczyć się z surową rzeczywistością popędów oraz skłonności ludzkich. Idealiści, zresztą, rzetelni, idealiści męzcy nie poddają się jego sentymentalnym mrzonkom: protestują przeciw fałszywemu idealizmowi całą siłą swej buntowniczej natury. Niewątpliwie, — pisał jeden z największych idealistów świata i zarazem mistrz Sorela, Proudhon, — niewątpliwie światem rządzą idee, idee także powodować mogą rewolucje; ale cóż idee owe oznaczają? — Oznaczają zawsze interesy.

Twierdzenie powyższe dowodzi, że słuszność mają ci, którzy w Proudhonie widzą zwiastuna materjalizmu dziejowego. Istotnie Proudhon wprowadza nas we wtóre, głębsze a zarazem istotne pojęcie materjalizmu dziejowego, różne od pojęcia tegoż w użyciu pospolitym.

W środowiskach kultury uniwersyteckiej, książkowej, utrzymuje się wiara we wszechpotęgę idei. Wedle dogmatów tej wiary, wystarczałoby przeistoczyć układ panujących obecnie idej, aby dokonać przemiany w całym porządku rzeczy. Jest to idealizm czystej wody. Sorel posługuje się metodą wprost odmienną, metodą zapożyczaną od Marksa, a widoczną już w dziełach Proudhona.

Zamiast brać za punkt wyjścia idee i śledzić wpływ ich na bieg historji, Sorel wychodzi ze środowiska materjalnego, a ściślej mówiąc, z techniki przemysłowej danego społeczeństwa, i bada, w jaki sposób technika owa oddziaływa na powstawanie pojęć prawnych, moralnych, religijnych oraz urządzeń polityczno-społecznych.

Oczywiście, zastrzec się trzeba przeciwko banalnemu użyciu tej metody. Materjalizm dziejowy nie jest tym, za co go mają ortodoksyjni wyznawcy marksizmu, którzy oryginalną myśl Marksa skazili. Sorel zjadliwie drwi z mnóstwa pseudo-materjalistycznych konstrukcji dziejowych,

śród chłopskich zagród nie gardzi też i marnym zarobkiem z marnych wydawnictw, obliczonych na ciemnotę wiejskiego ogółu. Ponieważ we Włocławku istnieje drukarnia dla djecezjalnych wydawnictw, nie opłacająca się należycie, przeto kler spekuluje na niej, drukując tam bezwartościową bibułę.

W ostatnich czasach zaczęto wydawać tygodnik wrzekomo popularny *Weterynarz gospodarski*, wziąwszy jakiegoś wojskowego lekarza weterynarji za słomianego redaktora. Pan ten niema pojęcia jednak o lecznictwie inwentarza, o które chodzi głównie rolnikom i wypisuje herezje, budzące uśmiech politowania u fachowców. Słusznie zjazd weterynarzy we Lwowie potępił to piśmidło a Stowarzyszenie weterynarzy w Warszawie podzieliło to zdanie, wobec znęcania się nad dyscypliną i terminologją weterynaryjną przez ów księży organ.

Śmiech ponad dramatem.

Zuchwałość śmiechu w Polsce niema granic; niedość że napastuje on najświętobliwsze matrony, nie dość, że zawisa nad czołami infułatów, niby miecz Damoklesów. Niekiedy wprost obiera on sobie siedzibę za kulisami najboleśniejszego dramatu, albo nawet tuż ponad nim. W dole łka cierpienie, a pod sufitem, w górze, najswobodniej łopoce motylymi skrzydłami gorzki jadowity śmiech.

Widziano go raz ponad „Sadem Wiśniowym" (dramat Czechowa) który moskiewska trupa Stanisławskiego, przez rząd popierana wystawiła na scenie Teatru Wielkiego. „Sad Wiśniowy" jest historją rugowania zwyciężonej od losu rodziny z jej siedziby ojczystej przez niejakiego Łopachina. Wyzucie z dachu ojców, smutek tułactwa jest osnową sztuki, na którą patrzeć kazano Warszawie.

Aktorzy grają tak pięknie, że słuchaczom wzruszonym łzy wyciskają z oczu. Pod stropem widowni kołysze się widmo gorzkiej ironji, ale go nikt z widzów nie dostrzegł.

kuszących się np. o wyjaśnienie pojęcia Boga za pomocą badania różnych form produkcji; przyjmuje on wpływ ekonomji na umysłowość, ale nie wierzy, aby ten wpływ był wyłączny.

Tak np. pogromy żydów na Wschodzie, jakie w okresie początków chrześcijaństwa zdarzały się śród kolonji greckich, Sorel jest skłonny tłomaczyć wbrew Renanowi, nie przyczynami społecznymi lub ekonomicznymi, ale pobudkami duchowymi: oto poganie zaznajamiali się z treścią żydowskich idei mesjanicznych oraz z pogłoskami o rzeziach, które idee owe niosły; lękając się tedy napaści znienacka, a chcąc uprzedzić wroga, poganie występowali zaczepnie, sami wszczynając pogromy. Podobnież Sorel silnie uwydatnia wpływ Biblji na życie natur mistycznych, i wogóle wszystkich ksiąg świętych na temperamenty rewolucyjne. Nie zaprzecza on również oddziaływaniu wynalazców oraz „wielkich" ludzi na rozwój dziejów, aczkolwiek wykazuje, że koncepcja historji czysto psychologiczna, na przekonaniu o posłannictwie wielkich mężów oparta, nie czyni historji zrozumiałą, pozostawiając nazbyt wielki kontrast między słabością przyczyny a ogromem skutku.

Ponadto zaś, przyznaje Sorel, działalność ludzka rozwijać się może, bezwzględnie po za wszelką zależnością od ekonomji, w dwu dziedzinach: w świecie czystej twórczości estetycznej oraz w świecie wzruszeń i stosunków czysto uczuciowych.

Jakkolwiek nie jedynym czynnikiem historji, ekonomja, bądź co bądź, jest czynnikiem najdonioślejszym, najpowszechniej działającym. I jest to rzecz zrozumiała, ponieważ, jak uczą Vico, Marks i Bergson, człowiek zna najlepiej to, co sam zrobił, co sam wytworzył, sam wyfabrykował: formy przeto i sposoby naszej działalności praktycznej kładą piętno wydatne na umysłowości naszej, kształtują, mimo woli i wiedzy naszej, tryby naszego pojmowania. Wysiłek rąk, natężonych pracą, wygina myśl łukiem pokrewnego natężenia. Lot myśli jest obejmowaniem w posiadanie roli, na której walczą i pracują mięśnie. W tym zdaniu, jak w zbiorniku, zbiegają się wszystkie promienie materjalizmu dziejowego. Czynność poprzedza rozumowania, ściślej zaś: technika posiada znaczenie rozstrzygające dla wyjaśnienia instytucji, a poprzez instytucje, dla wyjaśnienia ideologji. Ideologje są niczym innym, jak przędzą, która wysnuwają ze siebie instytucje, aby się oplatać nimi nakształt pajęczyny. Instytucje zaś powstają do życia, jako krystalizacje coraz nowych środków wytwórczości i techniki.

Wpływ działalności praktycznej na układ ideowy jest tak przemożny i rozległy, że mamy cały szereg spraw i stosunków duchowych, które oceniamy za pomocą pojęć wziętych z ekonomji; nie wszyscy, to prawda, mają odwagę pogodzić się z tą zależnością; wielu myślicieli, literatów i moralistów ciska gniewne gromy na głowy tych ekonomistów, którzy zdają się sprowadzać człowieka do prostego mechanizmu interesów. Jak niegdyś teorja Darwina, wiążąca człowieka, jako zwykłe ogniwo, w łańcuch istot ożywionych, wydawała się dogmatykom zamachem bluźnierczym na majestat człowieka - króla, tak dziś teorja materjalizmu dziejowego tymże dogmatykom wydaje się podkopaniem godności ducha ludzkiego. Najstarsze religje świata przyzwyczaiły człowieka do patrzenia na ziemię, jako na miejsce swego wygnania. Niebo po dawnemu pragnie on uważać za swą ojczyznę i metropolję. Kiedy darwinizm kolebkę i grób człowieka wmurował na wieki wieczne w ziemię, ludzkość wzdrygnęła się dreszczem zimnym, jakoby wobec własnej degradacji. A kiedy materjalizm dziejowy oparł rozwój człowieka na podstawie pracy, ludzkość odruchem buntu wstrząsła się powtórnie, jakgdyby ta doktryna nowa chciała duchowi jej skrzydła przykuć — do warsztatu!

Jest rzeczą atoli pewną, że oba te odruchy oporu gasną szybko, jako nieporozumienia chwilowe. Rodzi je albo ułuda, albo obłuda. W obu wypadkach ustąpić muszą przed postawą człowieka bardziej trzeźwą, szczerą, samowiedną i surową, a więc i moralniejszą, — i głębszy, pełniejszy nawiązującą stosunek z rzeczywistością.

Materjalizm dziejowy w pojęciu Sorela, jest przeto modyfikacją systemu Marksa, uzupełnianą przez filozofję Bergsona.

Warto jest przyjrzeć się, z jaką zręcznością Sorel demaskuje pojęcia ekonomiczne, pod osłoną czysto ideologiczną ukryte. Wykazuje on ich sze-

F. Jabłczyński.

SYZYFOWA PRACA.

(Ciąg dalszy).

I wtedy raz, włócząc się wertepami wśród skał i zwalisk, począłem rozmyślać nad całą tą historją. Zchudłem i wyschłem, że pępek przyrósł mi do krzyża a policzki do zębów i nie mogłem wymyślić nic godnego uwagi pomimo, że gryzłem myśli i miąłem je jak wąż dusiciel tak, że trzeszczały im kości.

I uratował mię przypadek, dobroczyńca głupców.

Pewnego razu moja ofiara wczesnym rankiem, po nocy, która musiała jej poplątać i powyciągać wszystkie fibry ciała i duszy, wykradła się z celi.

Spadła owej nocy rosa obficie i wszystkie lilje były niepokalanie czyste.

Niecierpiałem lilji.

Ale owego ranka zamiast kopać je i tratować jak zwykle, ukryłem się wśród ich zimnych ciał, które przejmowały mię obrzydzeniem, wstrząsały dreszczem, ilekroć dotknęłem ramieniem ich płatków sztywnych i chłodnych, niby dotknięcie martwicy.

W końcu ogrodu był niewielki staw, w którym zbierała się woda, płynąca ze źródła. Agata, blada, jak lilje, gnąca się, jak one, spiesząc się, minęła moją kryjówkę i stanęła nad brzegiem stawu.

Myśli niewieście są nieobliczalne. Nawet Najwyższy nie mógł odgadnąć Ewy.

Przez chwilę drżałem, przejęty lękiem, czy w grze nie naciągnąłem strun za wysoko, czy ofiara, zmęczona sobą i tym, co się w niej dzia-

reg nieskończenie długi. Poprzestańmy na kilku przykładach.

Oto „religje nader często wyobrażają stosunek między człowiekiem a Bogiem w postaci rachunku bieżącego; wielu katolików nawet mniema, że na swym rachunku posiadać może pewien nadmiar wartości zaświatowych, którym rozporządzać można, jak depozytem w banku, np. przekazać go, w drodze łaskawej darowizny, na rzecz przyjaciela". Ewangelja jest księgą przeznaczoną „dla żebraków, nie zaś dla wytwórców". *Umowy społecznej* Rousseau'a nie zrozumiano dlatego, iż nie dostrzeżono, że zwracała się ona do republiki drobnych niezależnych rzemieślników. Jeśli Grecy odznaczali się wysoce duchem geometrycznym, to pochodzi to stąd, że zajmowali się przeważnie opracowywaniem i przeróbką ciał stałych i twardych (metali, drewna lub głazów), gdy tymczasem ludy wschodnie, olśnione pierwszymi zdobyczami chemji, rozwinęły kult magji, w parze zaś z rozwojem magji bierze górę duch płynności, gdy geometrja stwarza podstawę dla rozwoju ducha stateczności". Jeśli snycerz starożytny nie zna wstydu i nie zna niepokoju myśli, jak to zauważył, acz bez należytego, zrozumienia, Taine, to zjawisko owe tłomaczy się obecnością w wyobraźni artystów przedewszystkim koncepcji architektonicznych". Pewne niezrozumiałe pomysły w *Tymeuszu* Platona dadzą się wytłomaczyć w związku ze sposobami tworzenia, przyjętymi przez rzemieślników, rzeźbiących emalje". Przemysł współczesny wogóle „wiedzie ducha ku filozofji mechanistycznej, tak, jak przemysł starożytny prowadził go ku filozofji finalistycznej".

Już z tych urywkowych zdań poznać można płodność i bogactwo Sorelowych pomysłów. Nie wszystkie, oczywiście, są jednakowo przekonywające. Każdy z nich należałoby poddać krytyce szczegółowej. Może okazałoby się wtenczas, że nie zawsze technika wykreśla drogi myślom, i że, podobnie jak monoteizmu nie podobna ściśle wyprowadzić z charakteru pustyni, tak samo religji apostołów nie można wyprowadzać z warunków ich rybackiego rzemiosła.

W zjawiskach istnieje niezaprzeczenie pewna względność, pewna cząstka dowolności, coś co bywa nieprzewidziane i czego przewidzieć niepodobna, a co dołącza się do determinizmu ekonomicznego równie jak do determinizmu fizycznego i biologicznego, dając umysłowi złudzenie wolności.

Niemniej jednakże, odkrycia Sorela zawierają wskazówki cenne, z których nauka nie omieszka należytych wyciągnąć korzyści. Chrystjanizm nie zrodził się z rybołóstwa, to prawda; wszelako, pierwszych wyznawców i uczniów znalazł Chrystus śród rybaków, którzy, jako koczownicy iść za nim mogli i poszli, gdy tymczasem mieszkańcy Judei, rolnicy osiadli na roli, pozostali do końca oporni względem nowej religji. Nie wahali się tej prawdy uznać historycy katolicyzmu.

Trudno też byłoby nie uznać tego, że myśl Sorela otwiera nowe widnokręgi dla tłomaczenia zdarzeń historycznych, powstawania idei, wreszcie tworzenia się popędów zbiorowych.

Za przewodem Taine'a i Renana przywykliśmy brać w rachubę jedynie determinizm fizyczny, albo fizjologiczny lub psychologiczny: wpływ przyrody, rasy lub idei. Ich doktryna znalazła wcielenie wymikliwe w nacjonalizmie, który przeznaczenie człowieka sprowadza do roli echa wiernego własnej ziemi, echa własnej przeszłości.

Obecnie ów relatywizm różnicuje się dalej. Obok miłości narodu, obok przywiązania do ziemi, wyrasta przywiązanie inne, nieraz przeciwne tamtemu, przywiązanie do klasy.

Obok skupienia wszystkich obywateli kraju na wspólnej ziemi, pod chorągwią wspólnej przeszłości, skupienia, będącego podwaliną nacjonalizmu, powstaje dziś, rozproszenie przestrzenne, po nad granicami narodowościowymi, wszystkich ludzi, myślących jednakowo, ponieważ jednakowo pracują, ponieważ technika jednakowym poddaje ich rygorom, i jednakowe w nich budzi dążenia.

Jeśli tedy w filozofji społecznej należy brać pod uwagę przedewszystkim wytwórców, to socjalizm przedstawi się nam nie jako fantazmy filozofów, którzy go budują, lub polityków którzy go wyzyskują, ale jako wyraz pragnień i marzeń samych wytwórców. Oto, dlaczego rozstać się trzeba z socjalizmem umysłowców i parlamentarzystów, natomiast pilną wytężyć uwagę na samorzutne fakty i ruchy w łonie samej klasy robotniczej. Socjalizm w ten sposób pojęty, stworzy

---

ło, nie postanowiła w końcu rozerwać węzła, wiążącego dwie skłócone potęgi — ducha i ciało — i uwolnić je od siebie w nurtach stawu kosztem wiecznych mąk potępienia, które wydały się jej lżejszymi do zniesienia.

Ale po chwili przekonałem się, że obawy moje były płonne!

Woda w stawie gładka jak srebrne zwierciadło, odbijała całą jasność blado-błękitną otwartego, porannego nieba.

Stanęła nad jej brzegiem i pochyliła się. Zanurzyła obie ręce w chłodnej szybie i zamieniła ją w powikłane, drgające kręgi.

Więc zrozumiałem, że pragnie ochłodzić się tylko po nocy, wycieńczona ogniem, silniejszym od mąk piekielnych, ostudzić żar, nieznany patryarchom i prorokom.

Woda, która jest żywiołem, zdawała chłonąć go, bo zaróżowiła się. Ale spostrzegłem wtedy, że różowość pochodziła od białego obłoku na zenicie, który właśnie wtedy pochwycił pierwsze promienie budzącego się słońca.

Patrzyłem, zachwycony. I zdawało mi się, że z wód i różowego blasku urodziła się kobieta. Że jedna z lilji zamieniła się na siostrę klasztorną, że pragnie, korzystając z porannej ciszy, przejrzeć się w zwierciadle lustrzanej powierzchni stawu i wykąpać się.

Istotnie! Pochyliwszy się bardziej, zanużyła obie ręce po łokcie w wodzie a następnie spryskiwała nią twarz i oczy. Ale widocznie i tego było jej zamało, bo obejrzała się kilkakrotnie. Ale w ogrodzie panowała cisza. Byłem ukryty, a wysoki, opięty zielenią, mur klasztorny nie dopuszczał bliskiego świata. Zaglądały tu tylko mgliste wierzchołki odległych gór ze skraju horyzontu.

Patrzyłem.

Wtedy szybko zrzuciła z siebie habit mniszy

filozofję wytwórców, będącą filozofją ramion, nie tylko filozofję głowy. Tej właśnie filozofji najdobitniejszym wyrazem jest dzisiaj syndykalizm rewolucyjny.

St. Romanowski.

Odczyt prof. Romera o „Dorzeczu Wisły".

Polski Związek Nauczycielski miał bardzo szczęśliwą myśl, gdy zapraszał prof. Eugenjusza Romera dla wygłoszenia odczytu w Warszawie. Inteligencja nasza zbyt oddalona od polskich ognisk wiedzy nie ocenia należycie wartości i powagi współczesnej pracy naukowej polskiej i śmiało rzec można, iż Europa zachodnia więcej wie o naszych uczonych niż my sami.

Do takich mało znanych u nas a cenionych zagranicą uczonych należy Eugenjusz Romer. Prowadzi on samodzielne badania naukowe, wysnute z nich i opracowane wnioski ogłasza w kilku językach, a zdobywając uznanie dla nich w świecie naukowym, obala błędne teorje poprzednich badaczy. Jego studja nad Alpami Zachodnimi stanowią na obecną chwilę ostatni wyraz nauki w tym przedmiocie. Głównie poświęca się on jednak badaniu ziem polskich. Odczyt o „Dorzeczu Wisły", wygłoszony w Warszawie stanowił niezmiernie ciekawy szkic syntezy, do jakiej go te studja doprowadziły. Chodziło tu o ogólną charakterystykę ziem polskich jako krainy geograficznej; o przyrodniczą podstawę jednostki politycznej i kulturalnej — jaką była Rzeczpospolita Polska.

Profesor Romer, zaznaczywszy, że przejściowość Polski między Wschodem a Zachodem jest cechą względną i zmienną, gdyż każdy kraj rozpatrywany w zestawieniu z sąsiednimi w pewnej mierze typ przejściowy stanowi, a rola pośrednicząca przechodzi od jednego do drugiego w miarę rozwoju kultury, widzi w takim określeniu ziem polskich jakoby zaprzeczenie im charakteru odrębnej jednostki geograficznej. Jeżeli charakterystyczną cechą zachodniej roślinności jest buk, to granica buka sięgała krańców Rzeczypospolitej, o czym świadczą nazwy miejscowości, a cofnięcie się tej granicy jest dziełem siekiery ludzkiej. Wschodnio-europejska szarańcza pojawiać się mogła a nawet zimować w okolicach Hanoweru. Bieg rzek na obszarach ziem polskich ma ten sam kierunek, co w zachodniej Europie a przybór świętojański nie stanowi charakterystyki specjalnej rzek zachodnio-europejskich, lecz wyróżnia rzeki górskie. Bliskość morza zachowuje się na całym obszarze Polski i jest między Bałtykiem a Morzem Czarnym tylko o 100 km. mniejsza niż między morzem Niemieckim a Adryjatyckim. Różnica ciepłoty stycznia i lipca dopiero o 200 klm. na wschód od Warszawy okazuje znaczny skok, wskazujący granicę strefy klimatu lądowego.

Stepy, leżące w granicach Polski, stanowią florystyczny przeżytek dawnych stepów wszech-europejskich, są już dziś wytworem kulturalnych raczej niż klimatycznych warunków.

Brak granic naturalnych nie może uzasadniać zaprzeczenia Polsce charakteru odrębnej jednostki geograficznej. Podstawą indywidualnej odrębności danej krainy może być, w braku granicy naturalnej, naturalna spójnia.

Z tego punktu widzenia rozpatrywane ziemie polskie stanowią, zdaniem Romera, wyraźną zwartą całość. Są one międzymorzem, przerżniętym rzekami, rozchodzącymi się w różnych kierunkach, rozdzielonymi niewysokim działem wodnym w ten sposób, że można było je z łatwością połączyć kanałami, by stanowiły sieć dróg wodnych, rozgałęzionych ku południu, północy, zachodowi i wschodowi. Dorzecza ich obejmowały obszar, urozmaicony pod względem układu powierzchni i naturalnych bogactw, co sprzyjało ożywionej wymianie produktów, a ujścia do dwóch mórz przeciwległych wyznaczały im rolę pośredniczącą między południem i północą raczej niż wschodem i zachodem, co nie zostało należycie wyzyskane. Owa sieć wodna przerywa się na zachód od Odry, pozbawionej lewych dopływów, na wschód od Dniestru i Dniepru. Między te dwie rzeki wrzyna się płyta Ukraińska, którą nasze drogi wodne okrążają lecz nie przecinają żadnymi dopływami. Granicą naturalną tego obszaru od wschodu i zachodu byłyby tedy

---

i stanęła w koszuli. Wstrzymywałem oddech, aby jej nie spłoszyć.

Zzuła sandały. Następnie znowu stanęła nad brzegiem ale w ruchach jej czuć było wahanie. Wyobrażałem sobie błyśnięcie nagle jasnego, nagiego ciała, które zgasi wszystkie lilje. Za chwilę, wśród szarej zieloności ogrodu i drobnych kwiatków, które pstrzyły krzewy i trawniki, niby małe motyle, ma zakwitnąć kwiat nowy, białością przedziwnie zakreślonych piersi, ramion i bioder, który ozdobi ogród tak, że stanie się podobnym do marzeń. Czekałem chwili, kiedy gruba, zgrzebna koszula zakonna padnie na piasek i ujrzę jeden z cudów natury, za który przebaczano już wszystkie grzechy na sądzie w stolicy Attyki pogańskiej i w drodze na Golgotę. Niestety czekałem napróżno.

Natomiast, niby dziecko, wchodząc do wody, ujęła koszulę w rękę, podnosząc ją ostrożnie co raz wyżej, aby nie zamoczyła się. Widocznie wstydziła się wody, nieba, światła. Widziałem jak drżała od chłodu fal, gdy te obejmowały ją, ukrywając zarazem zazdrośnie.

Ale trwało to tylko chwilę.

A wtedy stało się coś nadzwyczajnego!!

Otworzyłem szeroko oczy, tak szeroko, jak gdybym zamiast źrenic miał w oczach wielkie koła od wozów, którymi wożą kamienie. Coś się ze mną stało. Coś prysło! Jakaś zasłona spadła mi z oczu, która wzrok mi dotychczas zasłoniła. Oczy patrzyły chłodno, jasno, czysto, zdziwione, niedowierzając temu, co widzą.

Wychyliłem się z ukrycia, zapominając o liljach, aby przekonać się, że widzę dobrze, że mam przed sobą rzeczywistość a nie omamienie zmysłów.

Ale rzeczywistość nie zmieniła się. Widziałem obraz jasno i wyraźnie. Patrzyłem, patrzyłem. Śmiech mię porwał, a później wściekłość. Jedna chwila wystarczyła, aby zepsuć wszystko.

działy wodne i poza tę granicę nigdy nie sięgnął wpływ kultury polskiej, której gniazdem było dorzecze Wisły.

Wschodnia Europa, posiadająca własne drogi wodne do północnego i południowego śródziemno — morskiego obszaru nie potrzebowała pośrednictwa Polski w stosunkach z Europą zachodnią, a to tłómaczy nam brak wzajemnego oddziaływania między kulturą dorzecza Wisły i obszarów wschodniego lądu Europy. Samoistność kultury polskiej oraz jej łączność z zachodnio-europejską cywilizacją została tedy zawarunkowana położeniem i charakterem geograficznym ziemi, w której się rozwinęła.

Odczyt, ujmujący ściśle naukową treść w formę barwną, przystępną, wysłuchany został z głęboką uwagą i zainteresowaniem.

BADANIA NAUKOWE.

Kardynał Mercier i jezuita Tyrrell.

3)

(Ciąg dalszy).

Szybki, rzec można nawet, gwałtowny rozwój modernistycznych przekonań, w miarę zaś rozwoju tego, rosnące przeciwdziałanie jemu prawowiernego duchowieństwa katolickiego, na czele którego stali jezuici, przytem doświadczanie od swojej władzy bezpośredniej, którą stanowili ciż jezuici, dotkliwych ograniczeń, zmusiły Tyrrella do rozpoczęcia starań w celu wyjścia z tego zakonu. Ponieważ list jego do generała zakonu Martina, pisany w lutym 8, 1904 r., w którym on uprasza o pozwolenie opuszczenia tego zgromadzenia, wywołał tylko w odpowiedzi zachętę do pozostania w nim, składa on w czerwcu długi memorjał, wyjaśniający przyczyny swego postanowienia. W nim czytamy te słowa: „Zgromadzenie przestało dla mnie istnieć; idzie ono przeciwko słońcu, lecz nie z jego biegiem, jak to mniemałem, moja więc z niem umowa traci swą moc obowiązującą, jest, jakby nie była wcale". Ten atoli Martin, wraz z kardynałem Merry del Val, kuli właśnie oręż, wkładany do rąk papieża, którym on miał zmiażdżyć takich Loisych i Tyrrellów.

Zgodzenie się na wystąpienie z zakonu Tyrrella—nie leżało w planach ani generała, ani też prowincjałów. Należało go wydalić. Sprawa przeciągała się półtora roku, do 1906.

Na początku 1906 roku zaszła okoliczność sprzyjająca zamiarom generała.

W numerze noworocznym, 1-go stycznia, dziennik medjolański *Corriere della Sera* ogłasza artykuł: *Pojęcia pewnego reformisty katolickiego*. Treści do tego artykułu dostarczył *List poufny do przyjaciela, profesora antropologji*, niewiadomego autora, krążący sekretnie. Publikacja ta wywołała wielkie wrażenie.

Cóż mógł zawierać takiego ów list poufny do antropologa, żeby budzić wogóle zainteresowanie, jakiż jego związek z modernizmem? Oto społeczeństwo włoskie, a za nim i europejskie, pozostawało pod wpływem świeżo wydanego romansu *Il Santo*, Fogazzaro, który dostał się wnet po wyjściu na Indeks. Autor wzmiankowanego artykułu, streściwszy list, kończy tak rzecz swoją: „czyż nie powiedzą czytelnicy, że to jest rozdział z *Il santo*?" Z tego zapytania wniosek taki: ten list natchnął Fogazzaro, bez tego listu nie napisałby on swej książki potępionej.

W tydzień po wyjściu tego numeru medjolańskiego dziennika, Martin prosi piśmiennie Tyrrella, by mu odpowiedział, tak lub nie, czy on jest, jak utrzymują wszyscy, autorem tego listu. Tyrrell odpowiada: tak. Po upływie miesiąca prowincjał uwiadamia go, że jest *wydalony* ze zgromadzenia. Stało się więc zadość polityce zakonu. Nie Tyrrell opuścił zgromadzenie, lecz zgromadzenie za karę wyrzuca Tyrrella.

Opuszcza wnet Richmond. Zwiedza ląd stały, Paryż, Fryburg niemiecki. W tym mieście kończy nowe dzieło będące uzupełnieniem *Lex orandi*, któremu nadaje tytuł *Lex credendi*[1]). Ogłasza

[1]) *Lex orandi* i *Lex credendi* stanowią dwa, jak wiemy, osobne dzieła. Autor pierwotny ich szkic: *The*

Siostra Agata, widzenie moich marzeń, pod spodem, na ciele była bardzo brudna!

Ciało jej, chociaż wycieńczone, ale piękne, ukazywało się tylko miejscami w czystej swej, naturalnej karnacji. Po za tym leżała na niem patyna długo pielęgnowanych nieczystości, bo siostry nie myły się. Kolana czarniawe były od długich klęczeń i kurzu, tym ciemniejsze, że miejsca nieco powyżej miały białość śniegu. Piersi, okrągłe i płaskie, o cudownych linjach czaszy, kończyły się na dwóch czarnych jak święta ziemia, szerokich granatach a z pod pięknych pach żółtości wychodziły niepewne. Roześmiałem się znowu! Z siebie!

I czemu?! Czy przyczyną tego była szczególniejsza jasność poranka, czy białość i zapach czystych lilji, którym przypatrzyłem się wtedy lepiej, ukryty między niemi? Czy dla tego, że swą ofiarę widywałem zawsze tylko przy oświetleniach niepewnych, w mrokach kurytarzy klasztornych, w półcieniach wieczoru, w świetle księżyca lub przy nieokreślonym blasku lampki oliwnej?

I począłem przypominać sobie różne, dawniejsze szczegóły, które rzucały się na mnie, jak gdyby mszcząc się za to, że poprzednio nie zwróciłem na nich dostatecznej uwagi.

Wszak nie raz czułem, że w klasztorze, od czasu do czasu, w dnie gorące, unosił się zaduch ludzki i niewieści, który ani na mury ani na ziemię, ani na żaden z żywiołów zwalić nie można było. Wiedziałem, że siostrę Klemensę, mocną brunetkę, często w gorąco, kiedy napracowała się przy rąbaniu drzew albo przy kopaniu w ogrodzie, czuć było kozłem. Siostry były biedne i nie miały ubrań do zmiany.

C. R. A.

również on *list poufny* pod nazwą *A much abused Letter.*

Wydalony ze zgromadzenia Jezuitów, pozostaje i we własnym sumieniu i w oczach swych przyjaciół członkiem Kościoła By korzystać z nabytych raz przywilejów, stara się o *celebret* (pozwolenie odprawiania mszy). Porusza wszelkie instancje duchowne, lecz wciąż nadaremno. W pracy swej jednakowoż nie ustaje. W 1907 roku wydaje nowe dzieło: *Throug Scylla and Charybdis, or the old theology and the new.* Jest to także zbiór drukowanych poprzednio, poniekąd streszczonych, poniekąd przerobionych rozpraw, którym *wstęp* nadaje znamię jedności i całości

Dekret Inkwizycji *Lamentabili sane exitu* i Encyklika *Pascendi dominici gregis* na nową drogę wprowadza stosunek hierarchji katolickiej do tak nazywanych *modernistów*, z duchowieństwa i świeckich.

Tyrrell po powrocie z Niemiec, zamieszkał w Storrington (hr. Sussex). 22-października, 1907, arcybiskup dyecezjalny ks Amigo, uwiadomił go, że podległ klątwie kościelnej. Lecz, rzecz dziwna, że żadne jego dzieło nie dostało się podówczas na Index, pomimo tej klątwy, i sama ta klątwa nie była *większą* (excomunicatio major), ani też wydana *nominatim ac personaliter* (jak na przykład na Loisy).

Wyzwany w *liście pasterskim* przez kardynała Mercier odpowiada, jak wiemy, w dziele p. t *Medievalism.* Wykończył je w przeciągu trzech miesięcy. Pod koniec maja było ono już gotowe. Przed śmiercią, która nastąpiła zatem w półtora przeszło roku, jeszcze zdążył przygotować do druku dzieło,pod wiele mówiącym tytułem: *Christianity at the Cross -- Roads.* Chrystianizm na rozstajnych drogach.

III. Znający Encyklikę *Pascendi dominici gregis*, przypominają sobie typy modernistów w niej przez papieża przedstawione. Aczkolwiek wiemy, że to typy bardziej pozornie niż w istocie rzeczy są prawdziwe, bardziej metodą scholastyczną pochwycone, niż w rzeczywistości i życiu dojrzane, jednakże możebne pytanie, przez znającego Encyklikę zadane, do którego to z tych typów, do filozofa, czy wierzącego i teologa, do krytyka czy historyka, do apologety, czy reformatora zbliżyć lub zaliczyć należy nam Tyrrella, z formalnej poniekąd strony uważam za słuszne. Otóż Tyrrell łączył w sobie zasadnicze pierwiastki trzech takich typów. Przedewszystkim występował w nim wierzący. Za wierzącym szedł apologeta i poniekąd reformator. Wszyscy atoli na ogólnym tle — mistycyzmu, wewnętrznego doświadczania...

Najtrafniejszym atoli jest przedstawienie Tyrrella przez kardynała Merciera jako, co sobie przypominamy, „spostrzegacza przenikliwego, bacznie śledzącego ruch modernistyczny". Wielkiej trafności takiego określenia dowodzą dzieła Tyrrella. Większość z nich stanowią *zbiory* i *wybory* prac pomniejszych, okolicznościowych, poniekąd przygodnych, których łączy z sobą jedna jednakże myśl przewodnia, spaja wspólny cel i dążność, zabarwia niezmienne usposobienie...

(C. d. n.) *I. Radliński.*

relation of theology to devotion, zmieniwszy tytuł jego na tytuł tych dzieł, po raz drugi przedrukowuje w tym ostatnim. Ta wiadomość może się przydać tym, których zaciekawi pobieżna z konieczności wzmianka o nich na tym miejscu.

POD ŚWIATŁO.

Nr 6. [illegible] „[illegible]" — *Przegląd Narodowy* — z r. b. Nr. [illegible]

Indyk (kiepsko z angielska zwący się: endek)
Ptak sprytny, chocia prawy, dumnie okazały,
Znarowiony się martwić sam za kurnik cały,
Ba! za wszytek
Dobytek,
Za to żądny dla siebie żarcia z wszech-korytek,
Kiedy mu już korale w tych dumach zbielały,
Do pierzastej gromady grzebiącej wśród grzędek,
Jako że nadal w dumie tkwić miał chętkę,
Taką ucina gawędkę:

„Dumny ja już od trzech dum, a podumać warty
I w czwartéj,
Bom umiał dotąd wszystko przedumać na nice,
Bo znam się na polityce!
Więc przedsię wara mi włazić w paragon
Drobny drobiu, co szwędasz się wszędy po dworze,
I ty, o trzodo w oborze;
Órz tedy krasny wole nadął zagon,
Gęsi, kaczki niech się zgrają
Nadal po rowach taplają,
A tylko dla mnie, tylko dla indyka
W udziale — duma i polityka.
Takie już losy indycze...
Czemu tak? Rzeknę, byście wiedzieli:
Boście już do cna zżydzieli!.
Chcecie wywodów? wnet je wyliczę,
Wszystkie wywody:
Jakieście mieli perjody?
Romantyzm?! Messjanizm?! Toż słowo ostatnie
Każdy mi przyzna,
Jest żydom bratnie,
Bo w dźwięku „messjanizm" cuchnie żydowszczyzna!
A cóż jest pozytywizm? „Praca organiczna",
Lecz nie organistowska!
Ergo tedy bezbożna i apolityczna,
Ergo tedy żydowska!
Albo i socjalizm (czy są-ż brzydsze słowa?)...
Czy wiesz roboczy wole, co znaczy twa owa
Rnmota postulatów (oh! oh!) „wolnościowa"?!
Do siana wiązki praw żądasz nawiązki.
Praw!!.. A dźwigasz ty (jak ja) jakie obowiązki...
Pojąłeś że ible twardy, że twój punkt widzenia
Dowodzi braku uspołecznienia!
Poczucia prawa nierozbudzenia!!
Żżydzenia!!!
Teraz jasno widzicie moiście wy śliczni,
Żeście wszyscy żżydzeni, więc apolityczni;
Jakie-ż więc które znajdzie (oprócz mnie indyka)
Drogę jaką wytyka
Polityka dla kurnika!
Naprzykład. kiedy które z dworu pana dzieci
Z patykiem na was wyleci, —
Jakąż jest wasza taktyka?
Głupią Bo każdy nieboże,
Wrzeszczy i zmiata jak może.

Ja zaś umiem się nadąć jaknajokazalej;
No, a kiedy mnie bachor już po przez łeb zwali,
Albo kopnie,
To z jaką się godnością cofam, jak, roztropnie!
Ztąd myślę prawdę poznaliście nagą,
Że mnie znów dumać za was,—powadze z rozwagą!!

Tak oto raz koło razu
Cały miesiąc przeględził jak dziad do obrazu,
I czy go czasem kto nie usłucha
Łypał po bokach psiajucha
Chyrowski indyk w wnątrzu marząc szczerze:
„Gdyby mi tak wierzyli, jak ja se nie wierzę".

Marcholt.

KRYTYKA.

Z teatru

Teatr w ogrodzie Saskim (w składzie artystów t. zw. pierwszej sceny polskiej) potrącił znów o struny wielkiej sztuki, potrącił znów zgrzytliwie a nieudolnie o „Wieczór trzech króli" czyli o „Co chcecie?" jak brzmi znamiennie podtytuł Szekspirowskiej komedji. A stało się to nie przez jakąś linję dążności repertuarowych, lecz zarówno jak poprzednio co do wystawienia w Teatrze Wielkim „Romea i Julji" za sprawą gościnnych występów p. I. Solskiej. O ile zaś głównym powodem dysonansów w tragedji był brak pełni środków aktorskich u osób, biorących udział w przedstawieniu „Romea i Julji" (poza zresztą śmiesznościami scenicznemi innej natury),—o tyle zasadniczą kakofonją w komedji była strona reżyserska „Wieczoru trzech króli" (poza zresztą tragicznościami innymi).

Dwa wyżej wymienione fakty nie są niestety wyjątkowymi, lecz stanowią bilans z ciągu lat, są niejako średnią arytmetyczną, symbolem Stan naszej wielkiej sceny w taką ująć można formułę: z trzech składników, tworzących sztukę, z aktora, reżysera i t. zw. „wystawy", w tragedji chybia przeważnie aktor, w komedji przeważnie reżyser, „wystawa" zaś bezwzględnie wszędzie.

By nie stawiać gołosłownie tak ciężkich zarzutów, spróbuję je stwierdzić na przykładzie „Wieczoru trzech króli".

Czym była ta komedja w twórczości Szekspira, wie każdy jako tako z historją teatru obeznany człowiek. Była utworem-fraszką, rzuconą ku zobawie londyńskiego snobu, była figlem tytana, figlem, do którego on tylko mógł nie przywiązywać wagi. Podtytuł „Co chcecie" wymownie to stwierdza.

Rzecz tedy pisana gwoli pociechy widzów, winna była *śmieszyć* tłumek dość niewybredny. Przystosowanie sztuki do tego poziomu jest widoczne i bije w oczy. Lecz nie byłby Szekspir sobą, gdyby na tym poprzestał; poza więc efektami farsowej zgoła natury genjusz sceny naturalną swą drogą wspina się wyżej, tworzy osoby i sytuacje komedjowo „komiczne," aż wreszcie staje na szczycie, na uśmiechu po przez łzy na t. zw. humorze. Od zrywania boków z cyrkowych „kawałów" do melancholijnego uśmiechu, cała ta *skala* jest konsekwentnie przez utwór przeprowadzona i taką *winna być w odtworzeniu.*

Tak też grupują się osoby komedji. Tobjasz Czkawka, Andrzej Chudogęba, Fabjan, Malvolio i Marja, to postacie, reprezentujące komizm najgrubszy, szarżę cyrkową niemal, to wywoływacze śmiechu u najniewybredniejszych ówczesnych widzów, antenaci jakby dzisiejszych bohaterów z fars francuskich, bohaterów włażących pod stoły, wyskakujących w negliżu przez okna, bijących się po papie ku serdecznej uciesze dzisiejszej publiczki paryskiej czy szerszej klijenteli naszej farsy. Jest to grupa pierwsza.

Grupa druga — to Olivia, Orsio i Viola. Postacie te reprezentują komizm wyższego gatunku, komizm, wynikający już nie z samych sytuacji, lecz z pewnych rysów charakteru. Rysy te *tworzą* sytuacje, sytuacje śmieszne. Olivia rozlubowana w swej rozpaczy, która pochłania zrazu ją całą, rozkochana następnie w drugiej kobiecie, oświadcza się Violi, biorąc ją w męskim przebraniu za chłopca. Nie chciał że Szekspir uczynić ją śmieszną, wplątując w powyższą sytuację? Nie chciał że zrobić figury komicznej z Orsina, rozkochanego mazgaja, jakby przodka Fredrowskiego Albina ze „Ślubów panieńskich?" Stosunkowo może najmniej śmieszna jest Viola, okupuje ją miłość dla Orsina, ale czyż nie bawi się nią Szekspir, zamieszawszy w pojedynek z Chudogębą. Trzy więc powyższe postacie reprezentują komizm wyższy, komedjowy, winne są bawić i śmieszyć publiczność lepszą, wybredniejszą.

Szczytem zaś ozłoconym najpiękniejszymi uśmiechami twórcy, a zarazem jedynym przedstawicielem grupy trzeciej, symbolem stosunku autora do dzieła, postacią najgłębszą w najwykwintniejszy humor zasobną jest Feste błazen.

Jest jeszcze w sztuce grupa czwarta. Są to postacie niezbędne dla przeprowadzenia fabuły, to Sebastjan i Antonio. Osoby te nie mają żadnego udziału w idei komedji, są to konieczne pionki przy posuwaniu akcji, to też pod większą uwagę brane być nie mogą.

Zdaje mi się że po powyższym zdaniu sobie sprawy ze stanowiska osób działających, sam przez się wypływa ogólny ton komedji. „Wieczór trzech króli" *winien bawić widzów* od początku do końca, winien działać szeroką skalą komizmu, lecz być w tej skali *jednolitym*, o ile chcemy łaskawie uwzględnić intencje Szekspira. Jaki można nadać ogólny ton komedjom Szekspirowskim, pokazał teatr Zjednoczony wystawiając „Ugłaskanie sekutnicy".

Tymczasem zaś „Wieczór Trzech" Króli grany był nie jednolicie, przez niestonowanie całości, przez nieumiejętną reżyserję ze sztuki utworzono zlepek scen komicznych, lirycznych i dramatycznych, choć na dwie ostatnie kategorje nie powinno być miejsca.

Jeśli Szekspir chciał swą sztuką bawić, nie poprawiajmy go tedy i nie usiłujmy utworem rozkliwiać. Tymczasem zaś każda grupa osób grała sobie. Najwięcej może momentów dobrych miała grupa pierwsza, aczkolwiek pp. Wilczyński, Owerło i Kawalski częściej bawili siebie niż publiczność. Role ich wymagają szarży, błyskotliwej, piorunowej krzykliwej, stylizowanej nawet naogół, lecz ciągłej, nieprzerwanej, bez spadków. Jedna chwila niedociągnięcia do karykatury już atmosferę oziębia, sztuce szkodzi. Lecz w grupie tej jak powtarzam najwięcej może było istotnego wniknięcia w intencje autora. Natomiast mylne od początku do końca było wykonanie drugiej grupy. Operowano tu ciągle liryzmami, w scenach tych osób królowała bezpośred-

nio słodka manierka i specyficzny nastroik stosowany u nas do „poważnych“ sztuk wielkiego repertuaru.

Jaki więc powstawał odskok z gry grupy pierwszej i drugiej, jakie mieszanie oliwy z wodą i jaki zgrzyt całości, o tym wyobrażenie dawały miny publiki, która nieorjentując się w powodach, ponosiła ich skutki i dosłuchawszy sztuki zbożnie, do końca, wzruszała ramionami z podziwem, jak może krytyka pisać o utworze jako o arcydziele komizmu, gdy... i t. d. Jeżeli do powyższego dodam, że rola błazna w interpretacji p. Rolanda była czymś w rodzaju operetki bez muzyki, że tu po za stroną reżyserską szwankowały i środki aktorskie (chociażby wszystkie momenty wokalne) nawet kostjum, który winien być nie baletowo-atlasowy, bo na to biednego, jak z samego tekstu sztuki widać błazna nie stać, lecz w myśl idei tworzącej tę postać ze skrawków od parcianych łat do łachmanów purpury zcerowanym; jeżeli dodam, że dekoracje były także bez najmniejsze, myśli przewodniej o zastosowaniu ich do sztuki, jeżeli wreszcie się omówię, że trzebaby traktat cały napisać o tym co być winno, a co było, sądzę iż po tym można wysnuć wniosek że, nie „psuje się coś w państwie“ naszej wielkiej sceny, ale, że w owej wszystko i to gruntownie jest popsute.

Kazimierz Wroczyński.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

*** Krwawej tragedji nad Leną poświęca *Światło* artykuł wstępny, najdokładniej może z pism polskich zapoznający czytelników z tym piekłem podbiegunowym wyzysku i okrucieństwa, na które obecnie zwracają się oczy całej Europy. Pomimo strusiej polityki Dumy, która brakiem potrzebnego do przegłosowania *quorum* zgilotynować chciała zgłoszone w tej sprawie interpelacje — pomimo „stosunków“ giełdowego kacyka Sachara Zdanowa, akcjonarjuszy angielskich i miejscowej administracji, żywiołowy odzew, jaki przeleciał nad Rosją, obejmując szerokie warstwy ludowe, zniewolił rząd do liberalniejszej niż przekonania „przedstawicieli narodu“ polityki.

„Że ruch ten był żywiołowy — pisze petersburski korespondent *Przeglądu Wileńskiego* — najlepszy dowód, że ów strejk jednodniowy wybuchał niemal wszędzie i obszedł np. w Petersburgu bez wyjątku wszystkie fabryki i najmniejsze warsztaty“.

> Ten żywiołowy objaw solidarności klasy robotniczej przechodzi obecnie w szereg poszczególnych strejków ekonomicznych. Ruch robotniczy daje znak swego istnienia i nic dziwnego, że przedstawiciele rządu i bardziej przewidujący prawodawcy staczają prawdziwe walki z przedstawicielami przemysłu w Radzie Państwa.

Dwie myśli przewodnie polityki wewnętrznej, od najdawniejszych czasów cesarza Mikołaja I w wiecznej będące ze sobą zwadzie, ta, którą Trepow streścił w lakonicznym rozkazie: *patronow nie żalet*, oraz sakramentalna: *nie razdrażat* zetrzeć się ze sobą musiały tym razem bardzo wyraźnie i odzwierciedliły się w przemówieniu ministra Timoszewa: obietnicy wydelegowania nad Lenę b. ministra sprawiedliwości, ujawnienia szczegółów śledztwa, uregulowania warunków mieszkaniowych i czasu pracy w syberyjskich kopalniach, oraz wprowadzenia w życie już uchwalonych i będących obecnie przedmiotem obrad w Radzie Państwa przepisów o ubezpieczeniu robotników. W ten sposób ministerjum handlu dało wyraźniejszą odpowiedź min. Makarowowi na jego: „tak było i tak będzie“ niż posłowie, „wyraziciele opinji społecznej“.

Przegląd Wileński oceniając obecną sytuację w państwie, konstatuje:

> mamy przed sobą dowody, iż puls prawdziwego społecznego życia, podrabiany przez większość III Dumy, nie zamarł, przeciwnie, w końcu jej działalności został wyprowadzony z odrętwienia.

Czy ta oryginalna instytucja prawodawcza, której działalność polegała dotychczas na odrzucaniu praw, potrafi zrozumieć doniosłość tego faktu — przyszłość okaże.

*** Ekskluzywizm, któremu hołduje Narodowa Demokracja i w imię którego stacza heroiczne walki na Litwie, wywołać musiał z konieczności odpór miejscowych nacjonalistów, tak samo bezwzględny i nieprzebierający w środkach. Wyzyskiwanie ambony dla celów partyjnych okazało się zawodną bronią i niemało przyczyniło się do zdyskredytowania jej „polskości“.

Nie mógł pojednać się z nią ksiądz-rusin, a obecnie litwomani najlepszych swych agitatorów rekrutują z pośród duchowieństwa katolickiego.

Sprawa Janiska jest tragicznie komicznym zobrazowaniem etyki „pasterzy kościoła powszechnego“, którzy w walce przeciwko sobie wzajemnie powołują się na swe „privilegia fori“ bulli papieskiej, zabraniającej pozywać księży przed sąd świecki, gdy tymczasem na wsi duchowieństwo polskie ma godnych siebie litewskich przeciwników. Oto co pisze naprzykład *Viltis* o stosunkach kościelnych w parafji rumszyskiej:

> Przed 20 laty suplikacje, różaniec i inne śpiewy były polskie, chociaż wszyscy mówili po litewsku. I gdyby śpiewy polskie dotrwały tu do czasów dzisiejszych, to mogłaby być u nas awantura jeszcze większa niż w Janiszkach.

Drogi, jakimi obecnie oświata kroczy na Litwę między lud są niemniej charakterystyczne od tej lakonicznej groźby. W Nr. 9 *Ludu* czytamy taki list, oświeconego przez księży, litwina:

> Ciemni ludzie, którzy pierwej byli gotowi położyć głowę za sprawę polską, unikają jej, wracają do litwinów. Przekonali się, że język polski nie jest dla urzędu potrzebny, do zbawienia nie prowadzi i po świecie szeroko nie idzie tak jak litewski.

Jeżeli z jednej strony nasze duchowieństwo przyczyniło się niesłychanie do zdyskredytowania imienia polskiego na kresach widzimy, że po drugiej nie lepiej się dzieje. Według *Myśli Niepodległej* pierwsi działacze litewscy religjantami nie byli i im również niepodobna przyznać racji, że za teren działania obrali sobie kościół. „W takim sformułowaniu zarzutu jesteśmy sprawiedliwi, gdyż również obronie polskości na Litwie i Białej Rusi zarzucaliśmy nieraz, iż tę polskość opiera jedynie i wyłącznie na niepewnych pod tym względem fundamentach kościoła:

> A gdy bezwyznaniowcy litewscy do celów świeckich chwycili za oręż kościelny, idący po nich księża litewscy wprowadzili do kościołów czysto świecką i w dodatku surowej krytyce podlegać mogącą metodę agitacji na rzecz swoich

przeświadczeń politycznych. Nie ulega wątpliwości, że takie metody poczną wszystko: religję, narodowość i charaktery.

O konieczności wglądnięcia w te zaognione stosunki ze stanowiska demokratycznego i obywatelskiego zdaje sobie dokładnie sprawę *Przegląd Wileński* wskazując, że społeczeństwo nasze przez uczciwie pojęty rozwój świadomości narodowej Litwinów bynajmniej ucierpieć nie może:

> postępy oświaty i narodowej kultury litewskiej przestają być li tylko sprawą wewnętrzną litwinów a stają się sprawą klasy, społeczeństwa, kraju. I w takim razie społęgowanie się i rozkwit narodowej kultury litewskiej staje się „względem społecznie dodatnim, który przeważyć musi nad receptami nacjonalizmu, prągnącego porozsadzać obywateli po klatkach osobnych, zamknąć każdą grupę narodową w odrębnej rzekomo społeczności i wywiązać ich walką wzajemną

Ale w dziedzinie oświaty i kultury „szanowni" choć nawzajem się nie szanujący przedstawiciele frakcji Kościoła „powszechnego": polskiej i litewskiej nic do powiedzenia nie mają!

*** Napaść endecji lwowskiej na ministra Długosza skazana była na niepowodzenie w chwili, gdy Koło polskie, na wniosek Korytowskiego, do którego przyłączyli się też German i Lasocki, wyraziło ministrowi *votum zaufania* 51 głosami przeciw... 6. Takie ustosunkowanie liczbowe zdemaskowało „wszechpolską" sprawiedliwość, zwłaszcza gdy narodowy demokrata „przyznał dobrą wolę ministrowi, który wobec czynionych mu zarzutów, przedstawił całą swoją korespondencję, tyczącą się sprawy". Tę informację, aczkolwiek może niechętnie, podać musiał do wiadomości publicznej nawet *Głos Warszawski* zachowujący się względem swych kolegów ze *Słowa Polskiego* z wielomówną rezerwą, dopóki, warszawskie konserwatywne *Słowo* nie zmusiło go do wielomównego artykułu. *Słowo* postawiło sprawę wyraźnie:

> Stoimy po stronie p. Długosza; jesteśmy również dalecy od ludowców Stapińskiego, jak od lwowskiej N. D-cji. Sprawy bezpośrednio nie znamy, ale zna ją dokładnie Koło polskie.

Mniej wyraźną była odpowiedź *Głosu Warszawskiego*: i my nie znamy dokładnie przebiegu całej sprawy. Może słuszne jest oburzenie *Słowa*, ale... i po tym „ale" następuje utyskiwanie, dlaczego *Słowo* nie oburza się również na Stapińskiego za jego uchylenie się od wyroku w procesie z *Ojczyzną* i dość oryginalna propozycja, w stronę publicystów zwrócona:

> A może odsłonią przed nami tajniki politycznych kombinacji i udowodnią, że wyższa racja stanu nie pozwoliła p. Stapińskiemu korzystać z dobrodziejstwa ustaw sądowych.

Tutaj *Głos Warszawski* nie wytrzymał i swoim zwyczajem rozpłakał się nad stosowaniem do różnych ludzi różnej miary oraz nad zanikiem „uczuć moralnych w społeczeństwie."

Ale płacz przychodzi *Głosowi Warszawskiemu* równie łatwo jak pomijanie milczkiem stanu rzeczy. *Słowo* nie miało nic przeciwko temu, aby Narodowa Demokracja zapytała *wprost* pana Stapińskiego o owe „racje stanu", oburzało się jedynie na tych szantażystów, którzy: „domagali się od ministra Długosza, aby opuścił Stapińskiego i pomógł do obalenia namiestnika". (Długosz jak wiadomo posiada pieniądze, a galicyjska N. D. władać niemi lepiej potrafi niż argumentami) obiecując wzamian milczeć o rzekomym krzywoprzysięstwie na sądzie. Długosz Stapińskiego nie opuścił. Natomiast szereg Narodowych demokratów opuszcza stronnictwo. Więc burmistrz Tarnowski, dr. Tertil, Zakrzewski, Dąbrowski, Kukier, podobno poseł Jabłoński... Ci wszyscy, prawdopodobnie lepiej od *Głosu Warszawskiego* powiadomieni o „tajnikach politycznych kombinacji" woleli nie współdziałać z „tym ostatnim łajdactwem" jak jeden z nich taktykę wobec Długosza nazwał po imieniu. W imię „uczuć moralnych" wygodniej im zapewne będzie interpelować o „rację stanu" Stapińskiego nie z narodowo-demokratycznej trybuny...

*** *„Zasługi" — amerykańskich proboszczów. Młotek Duchowny* — organ ludowy polski w Stanach Zjedn. Am. Płn. wychodzący — pisze co następuje:

> Wychodźtwo polskie w Ameryce, jakkolwiek może później od innych narodowości, ale dosyć pięknie się rozwinęło. Gdyby nie to polskie, obłudne duchowieństwo stało na czele wychodźtwa, to z pewnością Polacy pod względem kultury, handlu, przemysłu, polityki i t. p. do dziś stanęli bezwątpienia na równi z innymi narodowościami.
>
> Naród polski, nawskroś religijny oddał się prawie zupełnie pod władzę księży, a ci go wyzyskali, oszukali, zaślepili w fanatyzmie, a wszystko na swą osobistą korzyść.

Przyczyny owego uwstecznienia i niedorozwoju polsko-amerykańskiej społeczności szukać należy w odrywaniu jej przez kler od prac pozytywnych.

Bo oto Polacy amerykańscy są wyczerpani do najwyższego stopnia i zadłużeni budową 600 kilkunastu kościołów, wartości przeszło 100 miljonów dolarów! Dla utrzymywania w pierwszorzędnej świetności tych licznych świątyń i jeszcze liczniejszej rzeszy księżej nasi rodacy z drugiej półkuli są wyciskani jak cytryny, a na prawdziwą i świecką oświatę pieniędzy zawsze jeszcze... brak. Mówimy prawdziwą, gdyż ta oświata, jaką szerzą „szkółki parafjalne" (liczba ich równa się liczbie kościołów) nie jest godna nowoczesnego i demokratycznego społeczeństwa. To też *Młotek* pyta.

> A szkoły? Może tu księża nasi jakie wielkie zasługi położyli? Ale nawet przez szkło powiększające trudno i tu się czegoś pochlebnego dopatrzeć. I tu szkół parafjalnych użyli na własną korzyść. Przez „oświatę" i „wykształcenie parafjalne" przecież pokolenia następne utrzymują dłużej w nieświadomości, w fanatyzmie religijnym, zupełnej uległości dla siebie, a przez to bezwątpienia można będzie łatwiej łupić ze skóry.

A że te rozsadniki „oświaty polskiej" pod skrzydłami kleru ukonstytuowane nie są wiele warte, to się przekonamy o tym skoro: „nauczycielki po szkołach parafjalnych — zakonnice rekrutują się przeważnie z miernot umysłowych" nic ze sztuką nauczania i spółczesnym wychowawstwem nie mających wspólnego.

Oto znamienny przykład stosunków, panujących pomiędzy „duchownymi chałaciarzami" (jak niesumiennych i niegodziwych „duszpasterzy" *Młotek* nazywa), a ich parafjanami.

> Ks. Małusecki sam powiedział, że przez 6 lat pasterzowania w Filadelfji, tylko ćwierć miljona dolarów ludzkich pieniędzy przehulał. A można powiedzieć, że prawie każdy ksiądz z małymi wyjątkami tyle pieniędzy ludzkich przetrwonił. Gdyby więc pieniądze te roztropnie włożyć w interes i prowadzić rzetelnie, uczciwie — jakie to olbrzymie procenta, zyski by przyniosło!!!

Z górą 41,000 dolarów rocznego dochodu mogą mieć na tej ziemi „biznesu“—księża, utrzymywani przez tak mało jeszcze rozwinięte i przeważnie z proletarjatu fabrycznego składające się—społeczeństwo!

Do kobiet polskich!

Dwadzieścia pięć lat Towarzystwo pomocy naukowej dla Polek, imienia Kraszewskiego, w Krakowie spełnia zadanie, które określa sama jego nazwa — od dwudziestu pięciu lat zdobywając z największym wysiłkiem grosz ofiarny, ma ciągle otwartą dłoń dla niedostatku, który się gnieździ na poddaszach, zamieszkanych przez polskie studentki.

Z drobnych, z trudem ściąganych ofiar, wypłaciło Towarzystwo dziesiątki tysięcy na stypendja i wsparcia. I ciągle otwiera się przed nim nowa niewypełniona próżnia. Niepodobna jej zapełnić doraźną ofiarnością, która zawsze będzie spoczywała na kruchych podstawach. Tylko trwałe jakieś dzieło może skutecznie zadanie rozwiązać. Takim dziełem powinien stać się D o m a k a d e m i c k i d l a p o l s k i c h s t u d e n t e k w K r a k o w i e.

Przed trzema laty Towarzystwo nasze podjęło myśl budowy tego Domu. Na jego przyszłe upragnione mury ofiarowuje całe swe mienie, jakim rozporządza: kilkanaście tysięcy koron. Ideą jego zdołało zainteresować światły i tak ofiarny zawsze zarząd miasta Krakowa, który uczynił nadzieję bezinteresownego oddania kawałka gruntu pod budowę.

Akcja nie jest już wyłącznie papierową, uzyskała podstawy, na których może się dalej pomyślnie rozwinąć. Ogół polski nie może, nie powinien odmówić jej swej pomocy. Do ogółu tego odzywamy się: Pomóżcie wznieść dach nad głową tych młodych istot, które się rwą do źródeł umysłowego życia, które jutro stanowić będą elitę polskiego świata kobiecego! Niechaj lata nauki nie przechodzą im w nędzy, która na zawsze zostawić musi po sobie moralne i fizyczne ślady.

Czcimy rok K r a s z e w s k i e g o, którego wielkie imię, jako symbol odrodzenia przez pracę, wzięłyśmy za godło naszego Towarzystwa. Domowi akademickiemu dla Polek pragniemy dać Jego miano. Niechaj mury tego Domu staną się trwałym pomnikiem pamięci wielkiego pisarza. Niechaj wszyscy, którzy go uczcić pragną, pospieszą rzucić cegiełkę ofiarną do tego pomnika.

Towarzystwo nasze niesie pomoc studentkom polskim b e z r ó ż n i c y d z i e l n i c — do współdziałania więc całej Polski się odwołujemy. Apelujemy zatym do tych z pośród kobiet naszych, które same przeszły akademickie studja i które najbardziej odczuć powinny niedolę lat studenckich, apelujemy do wszystkich zamożnych, w dostatku żyjących kobiet polskich, które nie powinny pozostać głuche na niedostatek swoich sióstr młodszych i uboższych.

W tym starym królewskim grodzie, z którego przesławnej Wszechnicy tyle wychodzi kobiet-lekarek, kobiet-nauczycielek, musi powstać Dom akademicki dla ubogich studentek polskich — j e d y n y t a k i D o m na całym obszarze naszej ojczyzny. O pomoc w tym dziele prosimy gorąco, w nadziei, że głos nasz nie przebrzmi bez oddźwięku. Towarzystwo nasze służy wyjaśnieniami i wskazówkami wszystkim, którzy chcieliby bądź indywidualnie, bądź korporacyjnie dopomódz naszym wysiłkom.

Za wydział Tow. pomocy naukowej, dla Polek, imienia Kraszewskiego w Krakowie.

Kraków, 27 kwietnia 1912 r.

Przewodnicząca: dr Z. Daszyńska-Golińska (ul. Pijarska 3), zast. przewodniczącej: Kamila Chołoniewska (Bonerowska 12), sekretarka: Stanisława Olszewska (św. Filipa 3), skarbnik: prof. dr Napoleon Cybulski (Karmelicka 16).

KRONIKA.

RUCH WYZWOLEŃCZY ŚRÓD KOBIET POLSKICH. W Krakowie, coraz szersze kręgi zatacza śród kobiet pracujących myśl wyzwoleńcza i postępowa. Wyrazem tego był w r. b. urządzony d. 12 maja t. zw. „dzień kobiet“, w którym zamanifestowały one, że poza walką o interesy klasowe czeka ich bój o prawa obywatelskie. Dzień ów obchodzono b. licznie. Na zgromadzeniu ludowym, odbytym w budynku cyrku przemawiali mówcy, śród których wyróżnił się świetną przemową poseł Daszyński. Po wiecu ruszono w pochodzie pod pomnik Mickiewicza. Tu wygłoszono znów kilka okolicznościowych przemówień i zakończono obchód.

Dodać należy, iż poważny udział wzięły kobiety krakowskie w — imponującym roku tego — obchodzie „święta pracy“ 1 maja.

Z ziemi Waszyngtona dochodzą nas również odgłosy tamecznej radykalnej roboty śród kobiet polskich, pozostających dotąd tylko pod nazbyt „czułą“ opieką czarnych kruków sutannianych.

Dzięki temu, iż w stanie Illinois referendum wypowiedziało się niedawno w sprawie prawa wyborczego niewiast, polskie pisma postępowe z Chicago z „Głosem Polek“ p. Stefanji Laudynowej na czele wystąpiły z agitacją, mającą na celu pobudzenie polskiego ludu gwoli oddania głosów za słuszną sprawę kobiet—obywatek. „List otwarty“ w tej kwestji umieścił również organ ko-. biecy „Zw. Narodowego polskiego“ — „Zgoda“ — wystosowany od „Komitetu Równouprawnienia. Czynny udział w pracach agitacyjnych i uświadamiających ludność polską wzięły członkinie amerykańskiego —„ Związku Polek“.

POSZUKIWANIE GORKIJA. Naczelnik miasta Petersburga w rozkazie do policji polecił odszukać miejsce pobytu Maksyma Gorkija, „niższonowogrodzkiego majstra cechu malarskiego Aleksandra syna Maksyma Pieszkowa“. Poszukiwanie odbywa się na skutek żądania sędziego śledczego.

ZMARLI. Dnia 16 maja r. b. zmarł w Eltham uczony polski *Henryk Struwe*. Urodzony 27 czerwca 1840 roku, wykształcenie średnie pobierał w Warszawie i Piotrkowie, następnie w Tubindze uczęszczał na wydział teologiczny i na filozofję w Jenie, gdzie otrzymał stopień doktorski. Przez założoną w Warszawie Szkołę Główną, został powołany na katedrę filozofji, na której pozostawał aż do jej zamknięcia w roku 1869. W 1871 r. zostaje mianowany profesorem uniwersytetu warszawskiego. Do najwybitniejszych jego dzieł należy: *Wstęp krytyczny do filozofji*, wydany w r. 1809; *Wykład systematyczny logiki* r. 1870 oraz ostatnie: *Historja logiki jako teorji poznania w Polsce*.

Dnia 16 maja zmarł w Jałcie wybitny działacz stronnictwa konstytucyjno demokratycznego, *Michał Petrunkiewicz*. Był człowiekiem czynu. W roku 1879 uczestniczy w ruchu konstytucyjnym, 1880 r. zakłada tygodnik *Twierskoj Wiestnik*, który z rozporządzenia cenzury zostaje zamknięty. Za zredagowanie protestu Towarzystwa lekarzy twerskich przeciw ochronie wzmocnionej w r. 1883 traci urząd lekarza ziemskiego. Przenosi się do Petersburga, w r. 1905 zostaje radnym miejskim, w roku 1906 posłem do I Dumy. Za podpisanie odezwy wyborskiej był skazany na 3 miesiące więzienia w Krestach.

O F I A R Y.

Na szkołę w Sokołówku. Janina Krassowska z Garwolina rb. 5.

Prenumerata „Prawdy“

wraz z bezpłatnym dodatk:

W Warszawie: miesięcz. kop. 70, kwartal. rb. 2, rocz. rb. 8, z odnosz. do d[illegible]

[illegible]

Za zmianę adresu dopłaca się [illegible]

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt od 12—1 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać [illegible] dakcji lub za pośred[illegible] desłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści [illegible] garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce [illegible] zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów [illegible]

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

TREŚĆ: Bolesław Prus. — POLITYKA I ŻYCIE SPOŁECZNE: Krwi! przez St. Pieńkowskiego.—ECHA PRAWDY: Na tym padole śmiechu. — Pani Lewentalowa ma głos. — Dekameron a biskupi. — Paunabudes spekuluje. — Śmiech nad dramatem. — Przegląd polityczny. — Jerzy [illegible]wego. przez St. Romanowskiego. (Dokończenie). — Odezw[illegible] — W CIENKU: Syzyfowa praca, przez St Jabłczyńskiego (Ciąg [illegible]) Kardynał Mercier i jezuita Tyrrel, przez I. Radlińskiego. (Ciąg dalszy) — POD ŚWIATŁO, przez Marcholta. — KRYTYKA: Z teatru, przez Kazimierza Wroczyńskiego — Z PRASY: Z prasy polskiej. — Do ko[illegible] polskich. — KRONIKA. — Ofiary. — Ogłoszenia.

Kierownik literacki: **Wincenty Rzymowski.**

Redaktor: **Aleksander John.**
Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk. L. Bogusławskiego Warszawa 8-ło Krzyżka 1[illegible]